odgłosy

Nr 11 (315)
15. III. 1964 R.
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK ROK VII

W numerze: Wiersze J.B Ożoga ● Katz: Sto lat wolności ● Skryba: Raz jeszcze o sprawie Dębskiego ● Krzemiński: Pisarze za Odrą ● Rozmowa z Leszkiem Rózgą ● Ludzie teatru: Malawski i Neugebauer ● Co to jest kobiecy zawód ● Beatles-maniacy ● Felietony ● Recenzje ● Polonica

ZYGMUNT FIJAS

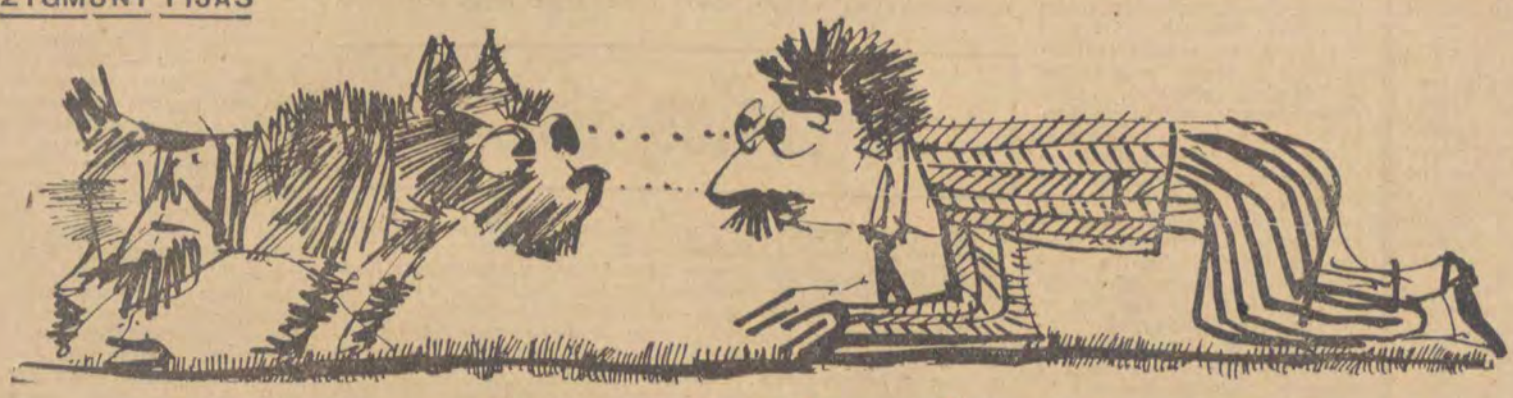

Wszystko co żyje jest mądre, nawet osioł czyli Zwierzęta patrzą na nas

(Dysertacja filozoficzna — doktorska)

Motto: Wuj Obrempajło do Dyzia: „Gdy rozmyślam, chłopcze, o filozofach, trudno mi nie kochać tego mizantropa, pieniacza i awanturnika, Schopenhauera, co gdy wchodził do knajpy, to wszyscy z niej uciekali... Schopenhauera, tego wybornego stylisty i pesymisty, ale w gruncie rzeczy... poczciwego i czułego Niemczyny, co całe dobrodziejstwo cywilizacji widział w tym, że lokomotywa odciąża zwierzęta juczne i pociągowe".

A teraz, umocnieni mottem, przystępujemy do dzieła:

Tworzymy wespół ze zwierzętami jedną wielką rodzinę. Pamiętajmy o tym!

Każdy ssak jest przecież bliskim naszym krewniakiem, mimo że niby nie mówi; naszym druhem serdecznym, mimo że niby nie myśli. Jakże często zapominamy o tym, bijąc zwierzęta. Batożąc jednak konie, krowy, psy, woły, muły, osły, musimy pamiętać kogo w nich bijemy: że cząstkę własnej rodziny, cząstkę wspólnej krwi, cząstkę samych siebie. W każdej znieważanej istocie znieważamy cząstkę samych siebie.

Kiedyś jeden z myślicieli francuskich, no, Wolter, pisał do Jana Jakuba (Rousseau): „Po przeczytaniu pańskiego dzieła o zgubnym wpływie cywilizacyjnego postępu, takim jestem przejęty wstrętem do cywilizacji, że chciałbym chodzić na czworakach."

Rozważmy, co powiedział wielki szyderca, przejęty mądrością Rousseau, wielkiego Szwajcara w małej futrzanej krymce: chciałby się zamienić w zwierzę. A więc nie tylko „powiedział", co wiedział, ale „wiedział", co powiedział. I czyż wy, wy nigdy nie odczuwaliście tych samych tęsknot?

Czyż gubiąc spinki, albo od godziny piątej po południu do godziny piątej rano szukając pierwszej połowy straconej doby i nie mogąc spać, nękani myślą o tej zgubie nie do naprawienia; lub zaraz po przyjściu z pracy, uganiając za dobrym importowanym kitem, albo też wylewając siódme poty, żeby po raz setny przepisać jakąś biurokratyczną bzdurę, już tyle razy przepisywaną w dziejach, że nie ma po co setny raz — i setny pierwszy czynić tego samego... czyż nie spoglądaliście tęsknie w stronę wesołej zielonej łączki, na której hasało figlarne cielątko, z pozoru głupie, lecz jakżeż szczęśliwe?... Machało optymistycznie ogonem, a więc z wiarą w krzepkie jutro, z wiarą w jakość smacznej, posilnej strawy, z wiarą w swą macierz: krowę, użyczającą swemu dziecięciu ciepłego wymienia, wypełnionego słodkim jak miód mlekiem — słowem: z wiarą w krowę „jako taką", krowę „samą w sobie"?... Nie chcielibyście być tym zwierzątkiem, mimo że głupie?

DALSZY CIĄG NA STRONIE 5

PROPOZYCJA — I CO DALEJ?

Zdradźmy dziś pewną redakcyjną tajemnicę: gdy miesiąc temu na tym miejscu drukowaliśmy „Propozycje" Mieczysława Woźniakowskiego (Odgłosy nr 7 z 16. II. br.), trzeci ich punkt („...proponuję, by w Odgłosach wypowiadać się mogła nasza młodzież") napawał nas niepokojem, a naszego kolegę redagującego dział prozy i poezji — lękiem. Straszyła nas wizja inwazji młodych ludzi z tarczami na rękawie, którzy pewnego dnia zachęceni „propozycją" zjawią się tłumnie w redakcji z determinacją właściwą młodym (i nie tylko młodym) twórcom, żądając publikacji swych utworów. Wizja ciżby młodych — in spe — pisarzy, wdzierających się do redakcji, zapełniających korytarze, pokoje, gabinety, uff!, przyznajemy się, nas, starych, redakcyjnych ramoli wizja ta przeraziła.

Ale na szczęście (?) nic takiego się nie zdarzyło: młodzież po prostu zignorowała „Propozycje". Śladami Tuwima, Parandowskiego, czy Puzyny, co to, jak wiadomo, jeszcze w krótkich spodenkach wchodzili na cierniową ścieżkę wiodącą do miejscowych pism i pisemek — otóż tymi śladami młodzież dzisiaj, jak się zdaje, już nie chadza. Marzenia i ambicje łączy młodzież z przyszłością i karierą innego całkiem typu: Popłatny zawód? A może estrada, ekran, ring? Literatura, kamieniste ugory publicystyki, nie, ten obszar młodzieży nie nęci. I cóż w tym zresztą dziwnego? Nie tu szukać wzorca wielkich karier, nadziei na fascynującą przygodę.

Czy to źle? Czy dobrze? Może to dowód jakiegoś neopozytywizmu, owej chłodnej racjonalistyki obliczeń i kalkulacji, która ponoć cechuje nasze młode pokolenie. A może to sygnał dalszej — i powiedzmy sobie — zrozumiałej dewaluacji słowa, wcale nie dziwnej w naszej epoce.

Więc może i nie byłoby powodów do niepokoju czy żalu. Po prostu „Propozycje", jak tyle innych inicjatyw, trzeba by puścić w niepamięć.

Ale oto spokój nasz zmącił wścibski i niedyskretny J. W. w „Kronice Kulturalnej" ujawniając, że centralne pisma społeczno-kulturalne rozchodzą się w Łodzi w śmiesznie nikłych nakładach. W mieście o kilkunastutysięcznej rzeszy studenckiej, w mieście liczącym dziesiątki tysięcy ludzi z dyplomami wyższych uczelni, w mieście przepełnionych szkół średnich i ogromnej armii nauczycielstwa, po kioskach błąkają się setki ledwie egzemplarzy tych pism a spora ich część nie znajduje nabywcy.

Dlaczego tak się dzieje. Czy jest to jeden z symptomów epoki technicyzacji? Niestety, zjawisko to raczej wiąże się z przeszłością, niż z przyszłością. Powiedzmy szczerze: brak w naszym mieście tradycji, która nakazuje interesować się na co dzień sprawami kultury. Nie ma czasu ani ochoty na lekturę tygodnika społeczno-kulturalnego młodzież szkolna, nie wdraża jej do tego nauczycielstwo, które też kto wie? czy takie pisma czyta. Podobnie jest z bracią studencką. A potem, w życiu dojrzałym, brak tych nawyków sprawia, iż w nowym osiedlu, zamieszkałym przez kwiat naszej inteligencji sprzedaje się po jednym egzemplarzu „Życia literackiego" czy „Kultury".

Cóż więc dziwnego, że cenna inicjatywa Mieczysława Woźniakowskiego, jak się zdaje, trafiła w próżnię?

Janusz Roszko
FOTOPLASTI-KON z doliny ABSURDU

Kolorowe ogłoszenia na płocie koło Domu Turysty i pod Krokwią: „Nowoczesny fotoplastikon". Fotoplastikon zaprasza. Dookoła — Zakopane, Wielki Fotoplastikon. Współczesny, w którym zobaczyć można rzeczy nieraz bardziej epatujące, niż koronacja królowej Elżbiety II.

Nie chodzi mi o przypadkowy strip-tease pijanej panny Tamary w „Watrze"; to było dwa lata temu, kiedy Tamara znajdowała się w pełni rozkwitu. Także i szatniarz z „Murowanej piwnicy", zwany przez bywalców ministrem kultury, nie zostanie wwindowany na piedestał, gdyż kultura w tym mieście sięgnęła zaledwie poziomu szatni. Przyłóżmy oczy do otworków fotoplastikonu. Uwaga, muzyka...

Obrazek pierwszy:
GÓRAL JEDZIE SANKAMI SPOD DWORCA, DZWONEK, KAPELUSZ Z PIÓREM, KURTKA MIASTOWA, JAK TO PANOCKU, W TYM ZAKOPANEM? GOŚCI PEŁNO, ALE PANÓW TO TERAZ NIE MA...

Podpis pod obrazkiem: Zmieniła się klientela. Nareszcie w naszej zimowej stolicy rozgościli się na dobre zwykli ludzie z Łodzi, Konina, Koluszek; staremu gaździe marzą się panowie, którzy rzucali na prawo i lewo czerwieńcami.

Obrazek drugi:
NA KRUPÓWKACH ROZMAWIAJĄ DWAJ WCZASOWICZE. „MOŻE KTOŚ KUPI ZEGAREK? POTRZEBUJĘ NA POWRÓT DO DOMU, WYPŁUKAŁEM SIĘ DO NITKI, BILET ZWIĄZKOWY ZGUBIŁEM W „WATRZE" PO KIELICHU, KTO KUPI ZEGAREK „DOXA"?

Podpis pod obrazkiem: Wspaniałe lokale kategorii „S" i inne, których jest w sumie około 30 w Zakopanem, kuszą, zniewalają swoim istnieniem i propozycją rozrywki.

Zaraz, proszę państwa, zatrzymajmy na chwilę maszynerię fotoplastikonu. Może istotnie pójdziemy do tego „nowoczesnego" popatrzeć na Grace Kelly i miss Ameryki, skoro panny Tamary już zabrakło i skoro rozrywki są w Zakopanem drogie? Ostatecznie ów biedny fotoplastikon, to jedyna tania propozycja kulturalna i jedyna stała placówka tego charakteru w Zakopanem. Kino panoramiczne, jedyne — jest już nieco droższe. Teatr Modrzejewskiej morduje się w małej i obskurnej salce „Morskiego Oka". Czwartki Literackie pani Millerowej, która zaprasza do biblioteki miejskiej przebywających aktualnie w Zakopanem pisarzy na wieczory autorskie, odbywają się w ciasnym pokoiku tejże biblioteki. Ludzie stoją na korytarzach i na schodach.

Skoro zatrzymaliśmy tę piekielną maszynerię fotoplastikonu — możemy sięgnąć na chwilę do archiwum. Oto zdjęcie miejsca, w którym obecnie stoi hotel „Giewont" duma naszego „Orbisu", z wszystkimi przyległościami. Na werandzie dawnej kawiarni Płonki siedzą Żeromski, Axentowicz, Hoesick, Kasprowicz. Tak ich pamięta doktor Fischer, nestor zakopiańskich ftizjatrów, który przed paru tygodniami obchodził 50-lecie pracy lekarskiej. Zakopane było wówczas tylko „letnią stolicą Polski" i miejscem leczenia gruźlicy...

Czym jest dzisiaj? Zimową stolicą kraju, centrum upadającego folkloru, oszalałym siedliskiem bożka sportów wyczynowych zimowych i letnich), enklawą FWP, siedliskiem sanatoriów przeciwgruźliczych.

Z sanatoriami też nie bardzo. Więc pod Giewontem psychoza. W „Europejskiej" piękne panie dyskretnie wycierają chusteczką brzeg filiżanki. Nie wiadomo, czy przed chwilą nie pił w niej kawy ktoś chory na gruźlicę. Poza tym — jak wieść gminna głosi — laseczniki Kocha fruwają po kawiarni jak chrabąszcze. Gdyby się wsłuchać, to szum taki, jak przy turbodmuchawie. Jeśli to nie same damy wszystko zdolne są zagłuszyć, plotkując o pięćdziesięciu i siedmiu niebezpieczeństwach, które grożą Zakopanemu ze strony gruźlicy. Szum obracających się z kolosalną szybkością języków; wszystko przez te sanatoria. A zatem: przenieść sanatoria z Zakopanego. Chcemy słońca i powietrza. Bez tych laseczników i tede.

Wyjście ponoć znajduje się w usunięciu gruźlicy z Zakopanego. Więc biedni i nieduczeni Hamlecj wołają tłustymi czcionkami: „Gruźlica czy turystyka"? A ponieważ są to polscy Hamleci, więc rozdzierają jeszcze szaty na kształt Rejtana. Aż szum idzie wielki po całej Polsce od tego prucia. Psychoza rośnie.

W związku z rozbudową kompleksu sanatoriów na Ciągłówce wszystkie dotychczas istniejące w środku miasta jak „War-

dalszy ciąg na str. 3

HENRYK KATZ

Sto lat wolności

Wolność ludzka, pojęta jako swoboda dysponowania własną osobą, jest w historii zjawiskiem stosunkowo rzadkim, a proces jej rozszerzenia się i szybkiego rozwoju w odniesieniu do dużych obszarów świata trwa od niedawna i wciąż daleki jest od pełnej realizacji. Zaledwie 150 — 180 lat upływa od uwolnienia mas chłopskich z poddaństwa w zachodnich i środkowych obszarach kontynentu europejskiego. Ledwie sto lat temu wolnym stał się chłop rosyjski. 130 lat temu nastąpiło zniesienie niewolnictwa w imperium brytyjskim. Interesuje nas obecnie fakt zniesienia niewolnictwa ludności murzyńskiej w Stanach Zjednoczonych, którego setna rocznica przeszła wprawdzie bez większego echa, lecz sami Murzyni amerykańscy i ich biali przyjaciele obchodzili ją wzmożoną walką o prawdziwe równouprawnienie.

Murzyni w Stanach Zjednoczonych są Amerykanami o wiele starszej generacji od dużej większości swych białych współobywateli. Sprowadzano ich na zachodnią półkulę już w XVI wieku. Po raz pierwszy (około 340 lat temu) przywiózł niewolników z Afryki na obszar dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, do kolonii Wirginii, sir John Hawkins, na okręcie, który — o ironio — nosił nazwę „Jezus". W sumie — w przeciągu trzech stuleci przywieziono z Afryki do kolonii amerykańskich 15 milionów osób wytrzebiając w tym okresie kilkakrotnie więcej życia ludzkiego. Według obliczeń badaczy zginęło w wojnach wywołanych przez handlarzy niewolników, w ogólnym zniszczeniu dużych terytoriów, w kazamatach i na okrętach piekła (tak nazywano statki, na których przewożono niewolników) około 60 milionów ludzi.

Murzyni byli traktowani jako cenny towar, ale obchodzono się z nim o wiele gorzej niż z jakąkolwiek inną materialną substancją. Schwytanym w łowach na ludzi niewolnikom afrykańskim wypalano zwykle na czołach piętno oraz zakuwano ich w kajdany. Śmiertelność na okrętach wynosiła przeciętnie 30 proc. Kupcy, przewoźnicy, kapitanowie okrętów prowadzili skrupulatnie swe notatki o handlu i przewozie niewolników. Jeden z nich, niejaki Millar notował, że spośród 790 przewiezionych niewolników zginęło 180. Inny — Ellison podawał, że na 895 niewolników utracił 365, a niejaki Claxton stracił ich ponad połowę. Oczywiście, tym dokładnie notującym kupcom i przedsiębiorcom okrętowym nie chodziło o to, że ginęli ludzie, ale że ginął drogocenny towar. Wspomniane przez nas fakty stanowią jedną z licznych, niestety, czarnych kart „białej" cywilizacji i nie ma potrzeby sprawy te przemilczać. Tu i ówdzie retrybucja dokonywana na białych w toku procesu wyzwalania się świata ludów „kolorowych" jest tylko bladym cieniem brutalności, bezeceństw i ludobójstwa na masową skalę, jaką praktykowali Europejczycy i biali Amerykanie.

Do ciemnych kart należą nie tylko haniebne praktyki, ale i zbudowany przez „białych" cały system usprawiedliwień owych praktyk, „ideologia", która miała zniewolonemu duchowo handlarzy i właścicieli niewolników oraz zdobyć im sympatię. Udana wyprawa łowiecka dowodziła, że sam Bóg „pozwolił przywieźć do kraju wolności (tzn. na kontynent amerykański) nowy ładunek pogan po to, by mogli poznać objawienie słowa świętego". Gdy jednak podniosły się głosy, że przyjęcie chrztu przez Murzyna winno doprowadzić do uwolnienia go, ciała ustawodawcze poszczególnych kolonii pospieszyły z uchwalaniem odpowiednich przepisów, które postanawiały, że chrzest nie zmienia w niczym stanowiska prawnego niewolnika.

Z czasem do rynsztunku ideowego wciągnięto zasady biologii, ekonomii politycznej, filozofii, prawa itp. lecz najbardziej rozbudowanym elementem owej ideologii był rasizm. A jednak praktyka życia obalała mit o „wrodzonej niechęci" i „wstręcie" ludzi białych do czarnych. Czy nie jest najlepszym dowodem tego powstanie licznej ludności mulackiej? Z pomocą pośpieszyło prawo, które surowo zakazywało wszelkich stosunków między białymi i czarnymi.

Uwolnienie Murzynów z niewoli, dokonane dzięki słynnej proklamacji Abrahama Lincolna z 1 stycznia 1863 roku, było wynikiem wielu złożonych czynników. Prowadził ku temu rozwój kapitalistyczny Stanów Zjednoczonych i ostry konflikt dwóch elit: burżuazji przemysłowej i arystokracji plantatorskiej. Przyczynił się do tego wieloletni opór i walka samych niewolników. Spośród wielu czynników zatrzymujemy się na jednym: solidarności białych ludzi pracy. Na 1000 żołnierzy armii Północy, walczącej w wojnie domowej zarówno o zachowanie Unii amerykańskiej jak i o zniesienie systemu niewolniczego, było 487 farmerów i 421 robotników. Biali robotnicy i farmerzy nie byli wolni przynajmniej od licznych przesądów. Co więcej — docierała do nich agitacja właścicieli niewolników, operująca dwoma głównymi argumentami. Pierwszy brzmiał następująco: „los niewolnika nie jest gorszy, a pod pewnymi względami lepszy (zabezpieczenie bytu!) od losu robotnika najemnego", drugi: „uwolniony Murzyn stanie się konkurentem białego robotnika na rynku pracy, obniży jego płacę i stopę życiową". Biali robotnicy — w swej masie — nie ulegali owym sugestiom. Jedni wychodzili z założeń religijnych o równości ludzi wobec Boga (pamiętajmy o ogromnie rozwiniętym w tym kraju sekciarstwie), inni wyciągali logiczne wnioski z Deklaracji Niepodległości, która proklamowała jako „oczywistą prawdę", „że wszyscy ludzie rodzą się równi" i że do ich niezaprzeczalnych praw należy „prawo do życia, do wolności i dążenia do szczęścia".

Jeszcze inni dobrze poznali, lub choćby tylko wyczuwali prawdę, że ten sam łańcuch, który skuwał czarnego niewolnika więzi i białego, najemnego robotnika, że wyzwolenie Murzynów to krok ku większej i prawdziwszej wolności wszystkich ludzi.

Wyzwolenie, które nastąpiło było połowiczne. Tylko niewiele poprawiła się ekonomicznie dola wyzwolonych, pozostały liczne przegrody prawne, pozostały, a nawet umocniły się przegrody natury socjalnej i obyczajowej. Szeroki ruch o pełne równouprawnienie i integrację społeczną, którego świadkami jesteśmy w chwili obecnej, jest przedłużeniem walki sprzed wieku, a zlewa się on z wielkim procesem wyzwolenia narodowego i społecznego, który przetacza się przez wszystkie kontynenty.

odgłosy w świecie

Advocatus diaboli

Dwupiętrowy budynek na przedmieściu San Francisco. Ponury z czerwonej cegły dom zamieniono na skład rupieci. Wysokie elżbietańskie pokoje zastawione obitymi aksamitem fotelami, w rogu latarnie sztormowe, statuetki i rzeźby; z sufitu sfruwają herubiny. Nad wejściem wisi tarcza herbowa z napisem: „Król Przestępców". Właścicielem tego przedziwnego pomieszczenia jest Melvyn Belli — jedna z najdziwniejszych, najbardziej zagadkowych figur w procesie Jacka Ruby'ego, w procesie o zamordowanie Lee Oswalda oskarżonego o zastrzelenie prezydenta Kennedy'ego. Belli występuje tu w charakterze obrońcy. Jego obecność nadaje procesowi specjalny posmak hazardu i nieprawdopodobieństwa.

Kim jest Melvyn Belli? Oto co on sam mówi o powodach, które skłoniły go do obrania zawodu prawnika: „Wybrano mnie bym wygłosił przemówienie na uroczystości z racji ukończenia szkoły średniej. W nocy poprzedzającej rozdanie dyplomów i całą uroczystość zalałem się i nie mogłem w dniu następnym wygłosić przemówienia. Szczerze mówiąc nie mogłem nawet znaleźć szkoły. Dyrektor za karę cofnął mi dyplom. Ojciec za namową przyjaciela — prawnika wytoczył sprawę dyrektorowi. Byłem głęboko ukontentowany i zdumiony — proces przebiegł łatwo, zgodnie z naszymi życzeniami. Zdecydowałem się pójść na prawo".

Belli, który obecnie ma 56 lat otrzymał dyplom Uniwersytetu Kalifornijskiego w 1933 roku. Zanim rozpoczął działalność prawniczą przez kilka lat podróżował po Kalifornii podejmując się różnych dziwnych, nietypowych prac. Był aresztowany za włóczęgostwo i ma wiele wyroków sądowych w zawieszeniu. Dzisiaj roczny dochód „Króla Przestępców" sięga miliona, jak je nazywa „krwawych" dolarów. „Krwawych", ponieważ zarobionych na wypadkach, w których leje się krew. Specjalnością jego są sprawy o odszkodowanie za szkody, rany i śmierć. Poza nimi podejmuje się on obrony w procesach kryminalnych. Bronił m. in. Chessmana — mordercę straconego następnie na krześle elektrycznym w pobliskim więzieniu Alcatraz.

Sławę „dziwnego" prawnika zdobył sobie rozprawami o odszkodowanie. Opłata za jego usługi to... jedna trzecia uzyskanych sum. Jedną z najsłynniejszych rozpraw był proces o odszkodowanie dla aktorki Maureen Connolly, za skaleczenie nogi. W czasie przewodu sądowego Belli zażądał wyświetlenia filmu, w którym ww grała w tenisa w Wimbledonie. Pozew wygrał, uzyskując dla klientki 65.000 dolarów.

W czasie rozprawy o odszkodowanie dla kobiety, która w wyniku wypadku straciła nogę po kolano, przez cały czas procesu na stoliku Belliego leżała paczka owinięta w gruby papier do pakowania mięsa. Jakkolwiek Belli nie wspomniał o paczce ani słowem, koncentrowała ona uwagę sędziów. W czasie ostatniego przemówienia zaczął powoli odwijać jedną po drugiej warstwy papieru. Wydobył w końcu „wspaniały wynalazek naukowy", który jego klient będzie musiał nosić — protezę. Podał ją sędziom pytając, czy którykolwiek z nich zgodziłby się zamienić własną nogę na protezę za... mniej niż 100.000 dolarów. Sąd przyznał żądaną sumę.

Ostatnim osiągnięciem Belliego było uzyskanie miliona dolarów odszkodowania dla wdowy po pianiście Williamie Kappelu, który przed 11 laty poniósł śmierć w kraksie lotniczej. Belli przekonał sędziów, iż załoga umyślnie spowodowała wypadek!!! Wezwanymi przez niego świadkami byli Isaac Stern, Artur Rubinstein, Van Cliburn oraz taśmy i płyty z nagraniami Kappela.

„Król Przestępców" jeździ po Stanach z wykładami i konsultacjami dla młodych adwokatów. Przy wyborze sędziów radzi strzec się: farmerów (bo skąpi), kobiet (gdy klient jest kobietą), jakiegokolwiek rodzaju ekspertów, a w szczególności lekarzy i pielęgniarki (bo są nieczuli i chcą okazać własną wiedzę), Anglików, Skandynawów, Niemców (bo nieczuli). Starać się o wybranie Irlandczyków, Włochów, Żydów i Murzynów (wrażliwi na cierpienie) oraz literatów, malarzy i wszelkiego rodzaju „artystów" przywykłych do rozrzucania lekką ręką pieniędzy. „Jeśli klient leży w szpitalu, idź tam — radzi Belli — ściągnij bandaże i zrób kolorowe zdjęcia ran lub jeszcze lepiej w podczerwieni.

Można i tak.
(Jedna z wielu karykatur jakie ukazały się przed wypadkami w Dallas).

Belli jeździ Rolls-Roycem przemalowywanym to na kolor beżowy, to purpurowy, różowy to znów srebrny. Jakkolwiek nosi ubrania od najdroższych i najsłynniejszych krawców, na pierwszą wizytę u Ruby'ego przyszedł w kowbojskich butach na wysokich obcasach, ciężkim futrze z karakułowym kołnierzem i w ciemnych przeciwsłonecznych okularach mimo, że dzień był pochmurny.

W rozgrywce o skórę Ruby'ego „Król" — Belli ponosi jak dotąd same porażki. Nie udał się trick z uznaniem Ruby'ego za umysłowo upośledzonego. Raport psychiatry Bromberga przedstawił portret człowieka agresywnego, bez skrupułów, lecz odpowiedzialnego za swe czyny. Następnie Belli wystąpił o zwolnienie Ruby'ego za kaucją. Gdy to nie powiodło się, zażądał przeniesienia procesu do innego miasta, twierdząc, że w Dallas poczucie winy za morderstwo prezydenta spowoduje skazanie Ruby'ego jako kozła ofiarnego. Argument ten został z oburzeniem odrzucony przez mera miasta: „Nikt w Dallas nie czuje się winnym!". Następnie Belli ponowił żądanie przeniesienia procesu do innego miasta motywując, że w Dallas nie znajdzie się 12 odpowiednich, bezstronnych obywateli, którzy by mogli być wybrani na sędziów. Nie udał się i ten trick mimo doprowadzonego do śmieszności określenia kwalifikacji, np. nie może być sędzią ten, kto widział w TV scenę zabójstwa Oswalda, nikt kto ma wyrobione zdanie na temat wypadków w Dallas.

Memento Chessman, mister Belli!

Wg „The Observer" — oprac.

LECH UTRACKI

„Kawaler" sycylijskiej mafii

6 lutego 1963 roku — godzina 1.10. Przed posterunkiem karabinierów w Caltanissetta zgrzyt hamulców szarej „Giulietty". Dobrze ją znają mieszkańcy Sycylii.

„Nazywam się Genco Russo — słyszałem, że mnie poszukujecie".

Tak, to Genco Russo, monarcha absolutny sycylijskiej mafii. Szukano go wszędzie. W Caltanissetta, w Mussomeli, w Palermo. Wszystkie drogi i ścieżki, wszystkie szlaki kolejowe, dworce, hotele i knajpy były pod ścisłym nadzorem policji. Jej kordon otaczał dom Genco Russo w Massomeli i jego posiadłości.

A jednak Giuseppe Genco Russo — bo tak brzmi pełne jego nazwisko — potrafił niepostrzeżenie przedostać się do Caltanissetty i uniknąć wstydu publicznego aresztowania.

Genco Russo, jest spadkobiercą sycylijskiej mafii agrarnej, która broni rozległych włości, przed reformą rolną.

Poprzednicy Russo — to Vito Cascio Ferro i don Callogero Vizzini. Pierwszy z nich po zabójstwie policjanta skazany na długoletnie więzienie, stamtąd kierował sprawami mafii.

Callogero Vizzini w swej stałej „rezydencji", w jednym z hoteli Palermo, przyjmował podsekretarzy i ministrów, księży i gońców, tam podpisywał wyroki śmierci. Gdy umarł, jego miejsce zajął Giuseppe Genco Russo, szef mafii z Mussomeli.

Wszyscy oni są mocni i nietykalni, bo potrafili znaleźć wspólny język z tymi, którzy decydują w sprawach polityki. Genco Russo był jeszcze czymś więcej.

Przydomek jaki nosi świadczy o jego chłopskim pochodzeniu. „Peppe Jencu" — tak go nazwali chłopi, gdy jako młody chłopiec pasł bydło w książęcych posiadłościach.

Już wtedy miał na sumieniu liczne morderstwa i liczne wyroki. Zawsze jednak — w sposób sobie tylko wiadomy — potrafił uniknąć kary. Zwalniano go z powodu braku dowodów. Miał mocnych protektorów, a wiadomo, że na protekcję trzeba zasłużyć.

Rok 1943. Amerykanie lądują na Sycylii. Pomaga im aktywnie partyzant Genco Russo. On — ofiara reżymu faszystowskiego — jest teraz bohaterem narodowym. Winy przeszłości zostają zmazane na zawsze.

W parę lat później, gdy ruch chłopski zaczął zagrażać wielkim latyfundiom, książę Trabii obronę swych interesów powierzył jemu, Genco Russo.

A potem... potem „Peppe Jencu" zamieszkał w eleganckiej dzielnicy Mussomeli, zapewnił swoim synom studia uniwersyteckie, a konia, na którym zwykł jeździł, zastąpił nowoczesną „Ardeą". Nie smakuje mu już „pasta asciuta" woli wykwintny 4-daniowy obiad. Pałacyk, w którym zamieszkał, odwiedzają — wprawdzie po kryjomu — znane osobistości, a odwiedziny te stają się coraz częstsze. Styl życia Genca Russo jest prawdziwie mieszczański. Russo nie lubi kina. Natomiast często spotkać go można w kościele. Jest wzorowym ojcem, w miarę surowym, w miarę troskliwym i serdecznym. Na ulicy wita znajomych szerokim ruchem kapelusza, a panie całuje w rękę.

Jeżeli jako człowiek prywatny potrafił Genco Russo zdobyć się na uśmiech, to jako „minister" mafii był zawsze surowy i groźny. Jego dom był siedzibą najwyższego trybunału mafii. Jeżeli ktoś mu się naraził, to nie miał już drogi odwrotu — czekał go wyrok Genca Russo.

Kiedy reforma rolna zaczęła zagrażać feudałom z Polizello, Genco Russo przyszedł z pomocą. Związek sygnatariuszy i groźba vendetty zrobiły swoje, pomogły utrzymać księciu nienaruszony stan posiadania.

Ale z reformy rolnej potrafił G. Russo także czerpać pokaźne zyski. Włości feudalne Riggiulfo podlegały reformie. 335 ha ziemi miało ulec wykupieniu po cenie 8 tys. lirów za ha. Roczny czynsz dzierżawny jaki za tę ziemię zapłacił G. Russo wyniósł 35 tys. lirów.

Inny przykład.

Majątek rolny Grazziano — 178 ha — miał zostać rozparcelowany z powodu złej uprawy.

Cóż jednak mógł zrobić właściciel, skoro każda próba podniesienia stanu uprawy napotykała zorganizowany bojkot. Duszą tej akcji był ktoś z mafii. Dziś ta ziemia jest własnością członka mafii Diego Gioia i... Genca Russo.

Takich przykładów można by cytować wiele.

Za te sprawy Genco Russo nigdy nie popadł w kolizję z prawem. Jego majątek obliczają na miliard lirów. Podatków nie płacił.

Władze szukają dowodów winy. Mafia nie śpi.

A Genco Russo?... W „czasowym odosobnieniu" trochę czyta, martwi się chorobą żony i złym stanem swoich starych oczu.

Ponoć dowódca górskiego posterunku karabinierów w Abruzzach otrzymał nakaz przygotowania zacisznej kwatery dla „zdetronizowanego króla", kawalera orderu „Za zasługi dla Rzeczpospolitej".

wg Epoca — oprac. M. T.

Co to jest kobiecy zawód?

Przeżyliśmy już czasy, kiedy kobieta mogła robić wszystko, i nawet dobrze było, gdy sprawowała na przykład zaszczytną funkcję traktorzystki. Inwazja kobiet na tzw. męskie zawody niezupełnie się udała. Obecnie o kobiecie — kapitanie wielkiej żeglugi mówi się jak o swojego rodzaju fenomenie. Czy to dobrze? Czy należy się z aktualnego stanu rzeczy cieszyć? Czy istnieją zawody tylko męskie i tylko kobiece? Na te pytania odpowiadają (w zakresie swoich specjalności) wykładowcy i studentki Politechniki Łódzkiej.

Odgłosy: Wydział Mechaniczny należy do wydziałów typowo męskich. Czym się to tłumaczy, czy studentki mają mniejszę szanse pomyślnego zakończenia studiów na tym właśnie Wydziale? Bo o ile jesteśmy zorientowani na aktualnym III, IV i V roku nie ma ani jednej kobiety.

Prof. dr Zofia Wendorff: studia na Wydziale Mechanicznym istotnie należą do dość ciężkich i niewiele jest na nim kobiet; na około 200 studentów mamy rokrocznie 2-3 kobiety. Same studia zresztą nie przedstawiają większych trudności dla kobiet niż dla mężczyzn. Studentki, z którymi się stykałam wykazywały zresztą z reguły większą niż mężczyźni pilność i pracowitość. Były kobiety, które ukończyły ten wydział z dobrymi i b. dobrymi wynikami. Później zaczynały pracować w biurach konstrukcyjnych lub laboratoriach. Na ogół mało kobiet — absolwentek Wydziału Mechanicznego pracuje przy warsztacie czy w tzw. „ruchu". Moim zdaniem jest to wynikiem pewnych tradycji — droga do pracy kobiety przy warsztacie nie została jeszcze dostatecznie „przetarta".

Odgłosy: Jest Pani jedną z niewielu kobiet, które tę właśnie drogę przecierały. Jakie są Pani zdaniem różnice w traktowaniu kobiet — studentek Politechniki przed wojną i obecnie?

Prof. dr Zofia Wendorff: zasadniczych różnic w samym systemie nie ma. Politechnika przed wojną istotnie miała w szeregach studentów mniej kobiet. Stąd właśnie wynikało traktowanie nas jako fenomenów. W tej chwili wszyscy są już przyzwyczajeni do kobiety-politechniczki. Wytworzyła się nawet sytuacja, że niektóre wydziały traktowane są jako „damskie". Do takich należy Chemia Spożywcza i Włókiennictwo. W zasadzie jednak nie ma żadnych przeciwskazań aby kobiety z powodzeniem studiowały na wszystkich innych kierunkach naszej uczelni.

* * *

Pani G. G. studentka I roku Wydziału Mechanicznego.

Ten kierunek studiów wybrałam zupełnie świadomie. Już w liceum słyszałam od starszych kolegów o trudnościach jakie mnie na tym wydziale czekają. Ponieważ jednak bardzo interesują mnie maszyny i urządzenia energetyczne (po III roku chciałabym przenieść się do Warszawy na Urządzenia Energii Jądrowej) postanowiłam zaryzykować i jak dotąd nie żałuję. Odbyłam już pięć miesięcy praktyki w Zakładach im. Strzelczyka. Razem ze mną na 40 praktykantów było 9 kobiet. Traktowano nas nieco inaczej, pobłażliwiej i niezbyt poważnie. Robotnicy malowali perspektywy naszej przyszłej pracy w barwach raczej ciemnych, ale jednocześnie bardzo pomagali w poznaniu konstrukcji i zasad działania różnych maszyn. Niestety, jedna z koleżanek zrezygnowała już ze studiów na naszym wydziale. Swoją przyszłą pracę widzę raczej w komórce badawczo-konstrukcyjnej niż w przemysłowym ruchu.

Pani M. W. studentka IV roku Wydziału Włókienniczego Politechniki Łódzkiej.

Wydział, na którym studiuję należy do tzw. wydziałów damskich, jest na nim co najmniej tyle kobiet ilu mężczyzn. W tych warunkach oczywiście nie ma mowy o odmiennym traktowaniu kobiet i mężczyzn, jesteśmy traktowane tak jak wszyscy studenci. Różnice zaczynają się dopiero w czasie pracy zawodowej. Jak się orientuję z rozmów z koleżankami, które ukończyły studia najgorzej powodzi się kobietom w starych zakładach. Stary park maszynowy utrudnia bardzo kobietom pracę a stara kadra nie traktuje kobiet-inżynierów zbyt poważnie. Im bardziej udoskonalony i nowoczesny warsztat — tym kobiety mają lżejszą pracę.

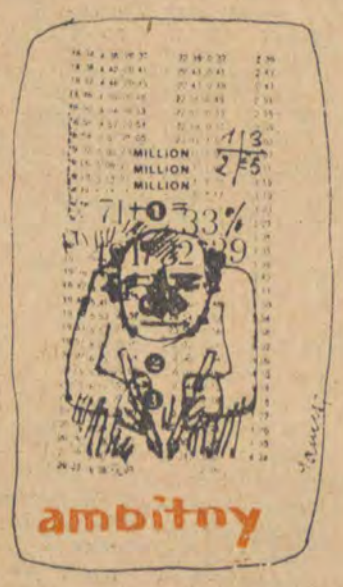

Rys. J. Wiktorowski

Pani K. G. studentka I roku Budownictwa Lądowego.

Na 80 osób studiujących razem ze mną jest 18 kobiet. Wszystkie zdałyśmy oba obowiązujące w tej sesji egzaminy i jak dotąd żadna z nas nie miała kłopotów również w laboratorium. W tej chwili odbywam praktykę w jednostce administracyjnej gdzie pracuje dużo kobiet, ale w przyszłości chciałabym pracować na budowie. Mimo, że doskonale zdaję sobie sprawę z trudności jakie mnie tam czekają. Wiem, że będę musiała czasem być głucha. Mam nadzieję, że twardą, kobiecą dłonią potrafię krótko trzymać moich podwładnych.

Pani S. F. studentka V roku Wydziału Elektrycznego.

Ja, i pięć moich koleżanek studiujących aktualnie na piątym roku przeszło przez studia bez kłopotów. Niestety, siedem innych po drodze „wykruszyło się". W laboratorium Maszyn Elektrycznych pracowaliśmy w zespołach 3-osobowych Mój zespół składał się z dwóch kobiet i jedynaka, który był nam bardzo potrzebny — nie do ciężkich prac, ale w chwilach awarii. Jego zimna krew była wtedy niezastąpiona. Odbyłam już dwie praktyki wakacyjne i istotnych różnic w traktowaniu mężczyzn i kobiet nie zauważyłam. Poza rzadkimi, konwencjonalnymi złośliwościami ze strony starszych robotników.

Po ukończeniu swojej specjalności (Trakcja Elektryczna) będę pracowała w DOKP-Poznań. Czeka mnie tam prowadzenie elektrowozu, budowa linii, remonty taboru i podstacji. Zupełnie nie widzę powodów dla których miałabym się tego obawiać.

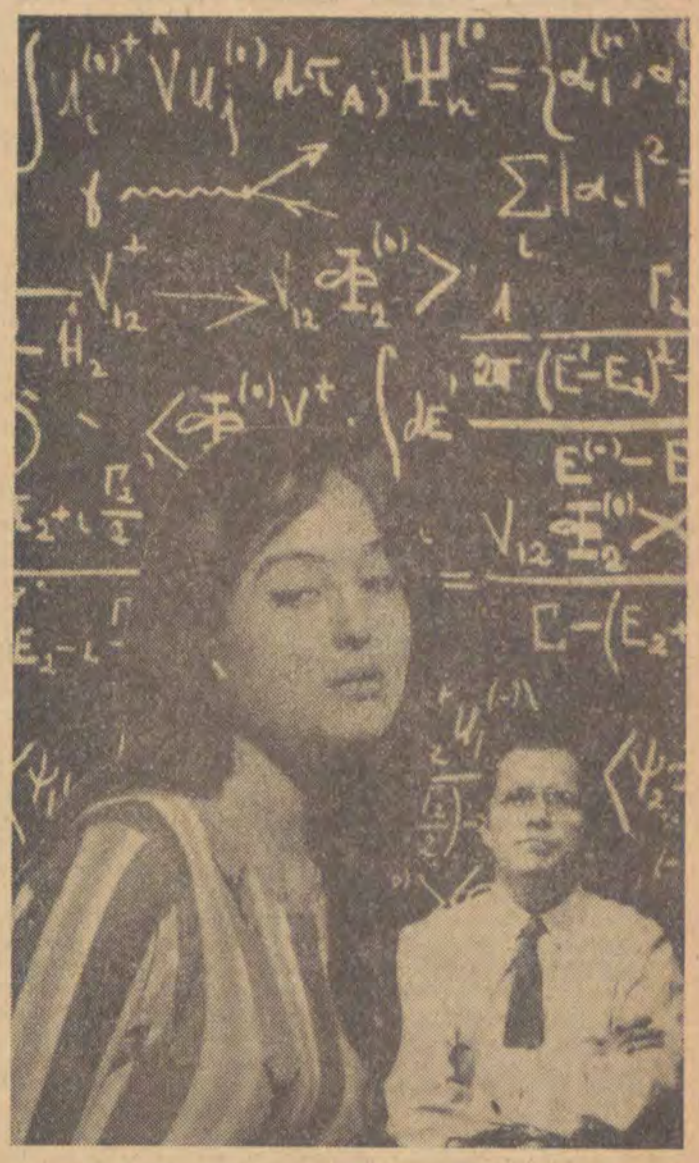

* * *

Odgłosy: przez wasze laboratorium muszą przejść wszyscy studenci Wydziału Elektrycznego. Jak Pan ocenia wyniki studentek w porównaniu z ich kolegami?

Pan mgr K. Zakrzewski. — Katedra Maszyn i Urządzeń Elektrycznych: aktualnie w naszym laboratorium pracuje 9 kobiet i trudno o jakieś ogólne wnioski. Wśród nich panuje zróżnicowanie chyba tak duże jak i wśród studentów. Są bardzo dokładne, sumienne ale trochę brak im inicjatywy.

Odgłosy: czy orientuje się Pan w dalszych losach absolwentek Waszej specjalizacji?

Pan mgr K. Zakrzewski: znaczna część naszych absolwentek pracuje naukowo lub w szkolnictwie. Jest to praca bardziej odpowiednia bo w pewnym stopniu bezrzeźimowa. Te pracujące w przemyśle skupiły się głównie w biurach konstrukcyjnych i w komórkach badawczych. Ruch energetyczny moim zdaniem przerasta możliwości kobiece, jest jednak zawodem męskim.

Jerzy Dębski
Marek Wawrzkiewicz

Janusz Roszko
FOTOPLASTIKON z doliny ABSURDU

Dalszy ciąg ze str. 1

szawianka", „Bojownik", a w dalszej kolejności „im. Chałubińskiego", „Sokołowskiego", Pocztowców — zostają zlikwidowane. Tak więc ilość łóżek nie zwiększy się, a sanatoria znikną zupełnie z centrum.

Psychoza psychozą, któż się obroni językiem pań z „Europejskiej"? W obrazkach naszego fotoplastikonu muzyczka ich tokowania decyduje o nastroju. Każdy szanujący się fotoplastikon dodaje do obrazków muzyczkę. Darmo. Nasz także.

A teraz obrazek „Zakopane w deszczu". Kiedy pada deszcz, a to zdarza się często (Makuszyński na pytanie „Co to jest Zakopane"? — odpowiadał: „Jest to miejsce między Kasprowym a Gubałówką, gdzie wiecznie pada deszcz) — wczasowisko ukazuje swe możliwości. Dopiero wtedy 30 lokali prosperuje na pełnych obrotach. Wczasowicze wydają ostatni grosz, by ustrzec się od nudy wieczoru, by zakosztować uroków „wielkiego świata", „wielkopańskich rozrywek". Obroty spadły bo nie ma rekinów finansjery. Ludzie więc nie przyjeżdżają z wielką forsą do Zakopanego. Ale jeśli wyjeżdżają oskubani do centa, to nic dziwnego. Tu wszyscy nadal twierdzą, że psim obowiązkiem przyjeżdżającego jest mieć kupę forsy. A więc o sarmackich obyczajach, o tym, że Polacy, potomkowie huraszy ciągną do kielicha — („Gdyż jak pancernej przystało chorągwi — zaraz do stągwi"! — napisano na plafonie Domu Turysty), postanowiono ów rozdźwięk między kieszenią, a gestem Polaka wykorzystać. Wszystko zostaw przy barze. Jedynie przy szosie do Zakopanego, koło Poronina uśmiechnięta dziewczyna na planszy reklamowej powiada: „Oszczędzaj w PKO". Inne dziewczyny, gdy tylko się ściemni — mrugają, żeby nie oszczędzać. W sezonie przybywa ich około 200 — 300 do Zakopanego, z tego ok. 10 proc. poszukiwanych przez milicję za drobne i grubsze kradzieże.

Teraz niestety rzadko się zdarza, aby w Zakopanem zasiadali jacyś mocarze z dziedziny intelektualnej. Prędzej z dziedziny sportu. Obozy kondycyjne, treningowe, wypoczynkowe. Moloch maksymalnego wysiłku, wyczynu rozpanoszył się pod Tatrami, pobudował piękne obiekty, które stoją miesiącami całkiem niewykorzystane, zakupił za miliony złotych wspaniałe urządzenia, z których nie wie, jak korzystać (pisała o tym nawet „Züricher Zeitung" i „L'Equipe"). W rezultacie coraz mniej osób uprawia jazdę na nartach, co można sprawdzić na stokach Gubałówki czy Goryczkowej. Nawet na oślej łączce mniej luda. Stanowczo mniej osób jeździ, niż to było 10 czy nawet 5 lat temu.

Bożek sportu pokochał wielkie wyczyny. Nie przejmuje się szaraczkami z FWP Chociaż — instruktorzy KO organizują rzeczy piękne: to Adam Pach gadkę góralską „założy", to pan Staich opowie o zbójnikach tatrzańskich, lub też teatr „przy stoliku" da występ z programem góralskim. Czasem nawet rusza nocą kulig przez Zakopane, górale w strojach, pochodnie się palą... Pięknie i tajemniczo. My, Polacy, my lubimy sielanki. I kuligi. Ale częściej niż kulig ciągną watahy pijanych facetów, obrażają władzę umundurowaną, leją w mordę. (Na platformie Domu Turysty napisane jest: „Pobije nas ktoś, albo my kogoś, bo się nam na głowie cupryna podnosi..." — z pieśni harnasi).

Nowoczesny kulig zacnych pijanic staje wobec kuszących rozmachem zadań: ma przed sobą knajp coś 12, od wyszynku wódy na stojąco w barze „Ekspress" do superluksusowego spożywania tychże trunków w „Orbisie". Rodacy, pomyślcie, 12 knajp!

Górale się sceprzyli, no a cepry, cepry się zawsze trochę zgóralą. Górale sceprzyli się niestety na fatalny model cepra-dorobkiewicza i kanciarza, maniery ich przejęli, ten to model jako obowiązujący uznali dla człowieka „z dolin". Perspektywa gabardynowych portek narciarskich i pełnego portfelu przesłania im Giewont tudzież pozostałe wierchy. Młodzież zakopiańska wyobraża sobie życie takim jakim je tu widzi: wydaje jej się, że życie upływa na stałym tańcu i swawoli. Nawet propagowanie Pinokia nie wyprowadzi ich z tego błędu. Tylko w bajkach — powiedzą — wyrastają ośle uszy tym, co myślą o stałej zabawie.

Przepraszam niech się odezwie teraz Wydział Handlu. Powie zapewne, że Zakopane zarabia na swoich uspołecznionych zakładach gastronomicznych. Ale my, patrząc na Zakopane z punktu widzenia interesu społecznego kraju — nie zawracajmy sobie głowy tym, co zarabia na ZZG miasto Zakopane. Nie są to sumy zawrotne. Przed rokiem — mimo większych obrotów — był tamże deficyt. Przed kilku laty — mówiono o drenażu. Sprawa zamyka się w tym, że jedni kanciarze drenowali drugich, państwo zaś nie miało z tego centa. Ale kogo u licha teraz wykorzystuje? Zwykłych gości, którzy z trudem płacą 50 złotych konsumpcyjnego i chętnie zamykają się w tych granicach, jeżeli dodatkowe okoliczności nie zmuszą ich do wydania większej gotówki.

Salonik wystawowy Zakopanego — będący właściwie duszną poczekalnią na parterze budynku Prezydium MRN — jest parodią salonu wystawowego. Ale Hasior czy Papp wystawiają tam właśnie, bo nie ma gdzie. Kultura miasta Zakopanego, gdzież się ona podziewa? W „Halamie"? W „Astorii"? (domy ZAiKS-u i Literatów). Dr Fischer pamięta czasy, kiedy mieszkali tu wybitni pisarze, pianiści, plastycy. Mieszkali, lub też przebywali czasowo. Teraz ci, którzy tu mieszkali, uciekają. Uciekł autor powieści góralskich Kapeniak, wyjechał Morstin i Brandstaetter, nieczęsto gości Sztaudynger. Miejscowe władzie nigdy nie troszczyły się specjalnie o sprawy kultury, ani o sprawy ludzi sztuki.

Wszystko jak w tym fotoplastikonie z małżeństwem królowej Elżbiety: Zakopane podobnie jak ów fotoplastikon, co się nazywa „nowoczesny" — wyświetla stary program sprzed 10 lat, nie wiedząc, że to już jednak inne czasy i inni ludzie. Inwestycje w dziedzinie gastronomii nadal dotyczą lokali „S" lub „I". Lokale niższej kategorii zostały przez nieprzeszkolony personel odpowiednio zapuszczone i wyglądają straszliwie, jak jaskinie zbójników skrzyżowane ze stajenkami betlejemskimi (sam — bar koło dworca). Brizol można kupić tylko za 30 zł, tańszego nie ma. Za 10 zł co można kupić? Płucka. Wątróbkę. Dlaczego nie ma kiosków z parówkami, dlaczego nie ma sam-barów, które proponowałyby na każdym kroku tanie potrawy?

Pytań jest do diabła i trochę. Stwierdzeń mniej, ale dosadnych:

- Że sytuacja utrzymywania w Zakopanem aury i kierunku sprzed lat 10 jest co najmniej niemoralna.
- Że campingów i tanich usług śmiesznie mało w porównaniu z wszechogarniającą kategorią „S".
- Że wreszcie proponując luksusową kuchnię — nie daje się żadnej niemal strawy duchowej, wszystkich pędząc w deszcz w objęcia barmanek i barmanów. „Orbis" twierdzi, że wódki sprzedaje się ostatnio mniej. ZZG to samo. Ale dlaczego robi się wszystko żeby sprzedawać więcej (pytanie retoryczne)?

W kategoriach strawy duchowej proponuje się ciągle folklor. Folklor, który lek

AUTONOMIZACJA ŚRODKÓW

Mówimy: grali ładnie, grali pomysłowo. Wielka biegłość, znakomite wyszkolenie... Niestety, to nie była skuteczna gra. Mówimy też: nie można na nich patrzeć. Brzydota tego, co robią... Jakby świadoma, jakby ostentacyjna. Jednak nie bez efektów. Bo to przecież oni wygrywają. Brzydota triumfuje. Brzydota jest nagrodzona. Zawsze? Doprawdy zawsze? Ładna gra, skuteczna gra... O cóż właściwie chodzi?

Reguły gry określają działanie zawodnika. Na boisku, na korcie, w ringu. Nie określają działania bez reszty. Delimitują je tylko. Zaledwie delimitują. Reguły wyznaczają też cel gry. Cel zasadniczy, główny. Trzeba strzelić więcej bramek niż strzeli ich przeciwnik. Albo więcej koszy. Trzeba trafiać go częściej. I silniej, uderzając zamkniętą rękawicą w określone pole ciała. Trzeba to robić przez 90 minut piłkarskiego meczu. Przez kilka czy kilkanaście rund bokserskiego spotkania. Trzeba... Nie wyliczajmy reguł. Jest ich wiele. Często są zawiłe, skomplikowane. Zawsze ustalają cel gry. Jest to cel nadrzędny. Realizacja celu zakłada środki. Środek sam staje się celem. Oczywiście, wtórnym. Ważnym o tyle, o ile przybliża cel ostateczny. O ile skraca odległość dzielącą nas od ostatecznego celu. Wybieramy środki. Staramy się wybrać te, które cel gwarantują. Przynajmniej — w naszym mniemaniu. Bierzemy pod uwagę sytuację, w której tkwimy. A więc pracę organizmu, sprawność mięśni, dyspozycje pierwotne, dyspozycje nabyte... Rozważamy prawidłowości biologii. I odwołujemy się do prawidłowości psychologicznych. Odwołujemy się? W każdym razie powinniśmy się odwoływać. Ale wówczas, nawet wówczas, gdy dopełnimy tych wszystkich powinności, wybór środków będzie sprawą hazardu. Sprawą ryzyka. Ryzyko możemy ograniczyć. Nie możemy go jednak uniknąć. Bo nie ma wyboru środków bez ryzyka. Ryzyka pomyłki, błędu, przegranej.

Skuteczna gra jest grą podporządkowaną nadrzędnemu celowi. Jest czymś więcej. To zespół środków, który nie zawiódł. Ładna gra natomiast... Nie ma ładnej gry dla widza, który nie zna jej reguł. Który nie zetknął się z nimi, nie liznął ich choćby przypadkiem. Dla niego wszystko jest takie samo. To niedorzeczna krzątanina. Rozpętanie gestów, niezrozumiałych i nierozumnych. Dopiero wiedza o regułach gry... Choćby niepełna, choćby urywkowa... Dopiero ona pozwala mu dopatrzeć się ładnego zwodu. I ładnej robinsonady. Dostrzec urodę zachowań zamkniętych w obrębie gry. Poddać je kontroli nowego kryterium. Nie określają go reguły. Kryterium, to kryterium niewiele ma z nimi wspólnego. Tak, trzeba znać reguły, by się nim posłużyć. Ale na tym koniec. Ale to wszystko. Kryterium „ładności" jest poza ostatecznym celem. Poza, a więc nie przeciw. Ładna gra nie wyklucza gry skutecznej. Oczywiście, wykluczyć ją można. Nie musi. Wyklucza natomiast — też nie zawsze, tym razem jednak zazwyczaj — grę zwróconą ku ładności. W ładności rozkochaną. Wówczas bowiem grozi to, co widzieliśmy, patrząc na mecz praskiej Dukli z dortmundzką Borussią. Grozi bunt środków. Środków wyrzekających się celu.

Mają one skłonność do przeistoczeń. Były celem. Naturalnie, podrzędnym. Zbuntowane stają się celem samoistnym. Ważne jest już nie strzelanie bramki, a mijanie przeciwników — jednego, drugiego, trzeciego — z piłką u nogi. Raptowny start skrzydłowego, sprinterski bieg na przestrzeni trzydziestu, czterdziestu metrów. Ileż razy biegał tak Gento? Albo podanie nożycami. Cóż z tego, że niecelne? Albo wyborny dribling. Demonstrowany przy każdej okazji. Gdzie tylko można. Trwa zbyt długo? Przeciwnicy ściągną pod swoją bramkę? To nieważne. To bez znaczenia. Istotny jest dribling. Tylko dribling. Pełne posłuszeństwo piłki. I pełne posłuszeństwo własnego ciała. Cel ostateczny? Ten nic nas nie obchodzi. Do diabła z celem ostatecznym. To, co robimy jest ładne. Ładne samo w sobie. Niezależnie od funkcji, od konsytuacji. Jest środkiem? Nieprawda. To cel. Cel autonomiczny. I oto stało się. Autonomizacja środków... Są niezależne, już niezawisłe, niczemu niepodporządkowane. Istnieją dla siebie. Realizują ładność. Wtedy przegrywa się mecz? Ależ tak, oczywiście. Bo mecz, wygrana... Zapomnieliśmy o niej. Pamięta ją tylko widownia. Wygwizdująca nas widownia.

Dunch

UWAGA! ŁÓDŹ STAJE SIĘ ZABYTKIEM

Zabytki przeżywają w naszym kraju prawdziwy renesans. I to oczywiście nie tylko zabytki renesansowe lecz wszystkich stylów i epok. Brzmi to może nieco paradoksalnie ale jest faktem niezaprzeczalnym. Zresztą dzieje się tak na całym świecie. Co więc dyktuje ów pietyzm dla tradycji, który każe wszelkim krajom i krajkom odgrzebywać z zapomnienia stare ruiny i legendy, a jeśli takowych brak tworzy je. Myślę, że rozwój komunikacji w ogóle, a rozwój turystyki w szczególności. Cóż z tego, że w niektórych okolicach i regionach znajdowały się ciekawe zabytki, jeśli nie było można tam jak i czym dojechać. Tak było do niedawna też w naszym województwie. Wartość zabytków była martwa pod względem turystycznym. Parę lat temu nikt nie jeździł ani do Łęczycy, ani do Oporowa, ani do Warty, czy też Krośniewic — stwierdzają to zgodnie działacze PTTK i konserwatorzy.

Dziś natomiast zabytkami Ziemi Łódzkiej interesują się, i co ważne, odwiedzają je nawet turyści zagraniczni. Przy tej okazji stróże naszych zabytków mają możliwość zapoznania się z kolei z portretami prezydentów USA. Zabawna historia zdarzyła się w Oporowie. Kiedy woźna tamtejsza otrzymała od pewnego turysty zagranicznego 5 dolarów, nie bardzo wiedziała co z nimi zrobić. W miejscowym GS-ie nie chciano od niej tych pieniędzy przyjąć Rzecz jasna, jest to wypadek unikalny i nie chciałbym, aby przy tej okazji zrodziła się nowa legenda, jakoby Polacy nie wiedzieli co się robi z dolarami.

Na brak zabytków narzekać nie można. W sumie sama Ziemia Łódzka posiada około 300 zabytków. (Łódź — 120, województwo — 170), z których wiele należy do pierwszej klasy, co w przetłumaczeniu na język potoczny oznacza, że warte są obejrzenia. Wiele z nich w ostatnim XX-leciu zostało zabezpieczonych, odnowionych i zrekonstruowanych. Nie wynika to jednakże z chwilowej mody czy też z chęci przypodobania się li tylko znużonym zagranicznym turystom szukającym wrażeń w zabytkowej Polsce lecz z szacunku i przywiązania do tradycji, z umiłowania piękna dawnej architektury, z poczucia dumy narodowej i wreszcie ze zwykłej troski o przeszłość, której nie mamy się czego wstydzić. W końcu jesteśmy przecież tym państwem tysiąclecia, w którego narodowej historii, tej najstarszej i tej najnowszej znajduje się bardzo wiele pięknych kart, przynoszących zaszczyt współczesnemu Polakowi.

Oczywiście, kult dla zabytków przeszłości to nie to samo co moda na starodawność, a wzrost liczby konserwatorów w naszym kraju wcale nie oznacza wzrostu liczby konserwatystów. Raczej wręcz coś przeciwnego, nasze postępowe i rewolucyjne państwo popiera tego typu zachowawczość. Wspomnę choćby, że w okresie międzywojennym na naszym terenie w ogóle nie było konserwatora, podlegaliśmy konserwatorowi warszawskiemu. Dziś natomiast mamy dwóch: miejskiego i wojewódzkiego. Nasze miasto nie miało tradycji w tej dziedzinie. Zresztą panowało i nadal jeszcze panuje przekonanie, że Łódź nie posiada wartościowych zabytków, jest koszmarnie brzydka, liszajowata, czynszowata, zagracona, drewniakami i w ogóle zwyrodniała urbanistycznie i architektonicznie.

Swego czasu wiele sporów wywołał projekt zabudowy placu Wolności. Był to typowy konflikt między myśleniem historycznym, a więc z samej swej istoty rzeczy zachowawczym, a myśleniem nowoczesnym, inspirowanym przez współczesne ambicje, konflikt konserwatora z urbanistą. Spór załatwiony został połowicznie. Mają tam obecnie stanąć bloki czterokondygnacyjne zamiast ówcześnie projektowanych sześciokondygnacyjnych.

Na czym polegało meritum sporu? Otóż plac Wolności jako centralny plac Łodzi posiada charakter małomiasteczkowy.

Stało się to na skutek szybkiego rozwoju miasta, którego nie przewidzieli planiści i urbaniści rozpoczynający budowę Łodzi. Był to plac budowany z myślą o 50—100-tysięcznym mieście. Zrozumiałe więc, że nie zaspokaja on obecnie jako element reprezentacyjny miasta, ambicji współczesnego pokolenia łodzian. Pełni on w tej chwili funkcję reliktu, a nie wizytówki miasta. Podkreślone to nawet zostało przez umieszczenie tam starego pomnika.

W ten sposób powstał problem do dyskusji — zachować plac jako relikt, jako dowód spontanicznego tempa rozwoju miasta czy też poszerzyć go, rozbudować i unowocześnić. Sprawa jest otwarta i wcale niełatwo określić kto tu ma rację, ba, kto tu jest bardziej postępowy. Czy ten który chce zburzyć i wybudować nowy plac, czy ten, kto chce go zachować w stanie nienaruszonym.

Jako ciekawostkę warto podać, że Amerykanie, znani przecież z tego, że potrafią burzyć dom dziesięciopiętrowy, by na jego miejsce zbudować dom dwudziestopiętrowy, a następnie po kilkunastu latach zburzyć dom dwudziestopiętrowy na rzecz budowy z kolei wieżowca trzydziestopiętrowego, zachowują na Wall Street budynek pierwszego Zarządu Miejskiego w Nowym Jorku. W Waszyngtonie zaś wolno budować tylko w stylu klasycyzującym.

Oczywiście spór o plac Wolności jest tylko odbiciem pewnego ogólnego problemu jaki nurtuje nasze miasto, które wchodzi niepostrzeżenie w fazę historyczną i staje się na naszych oczach zabytkiem. Na przykład o ile w województwie zasadniczą sprawą jest konserwacja zabytków (w ostatnich latach odnowiono i zrekonstruowano: Kolegiatę w Tumie, pałacyk letni z XVII wieku w Poddębicach, pałacyk Męcińskich w Działoszynie, zamek prymasowski w Uniejowie, renesansowy zamek w Bykach, zamek w Piotrkowie, wieżę zamkową w Rawie, Bolesławiu, zameczek w Oporowie, pałacyk w Walichowicach, dworki modrzewiowe w Wojszycach, w Węgrzynowicach, w Chorzelicach i w Rzekach Wielkich) o tyle w Łodzi najistotniejszą sprawą jest ustalenie, co zaliczyć do zabytków, no i oczywiście otoczyć odpowiednią opieką konserwatorską. Sprawa nie jest wcale taka prosta, ponieważ konserwator ma tendencje do zaliczania w poczet zabytków wszystkiego co się tylko da zaliczyć, a budownicze nowej Łodzi wręcz przeciwnie, chcieliby tę listę zabytków ograniczyć do minimum. Najgorsza rzecz w tym, że wszyscy tu mają jak najlepsze intencje i wszyscy powołują się na dobro społeczne czyli mamy tutaj do czynienia z typowo nieantagonistycznym konfliktem. Z jednej bowiem strony Łódź jest przecież wielkim placem budowy (w realizacji, w planach i w projektach planów), z drugiej zaś właśnie przeprowadza się inwentaryzację obiektów, które mają stać się zabytkami.

Problem jest więc jak najbardziej otwarty. Sądzę, że architekci i konserwatorzy zechcą się na ten temat wypowiedzieć. Warto również aby na ten temat głos zabrali mieszkańcy Łodzi. Chodzi mianowicie o to, by sprawę przedyskutować i w miarę możności rozsądnie rozstrzygnąć, ażeby nasi potomkowie nie mieli w przyszłości nam czegoś za złe. Nic bowiem gorszego jak zasłużyć sobie na złe mniemanie. U potomnych. I u współczesnych również.

KAROL BADZIAK

PS. Myślę, że łamy „Odgłosów" nie załamią się od takiej dyskusji.

Rys. W. Kondek

Na wariackich papierach

Latem ubiegłego roku po raz pierwszy stanął przed sądem Władysław Dębski. Po raz pierwszy, bo chyba wkrótce jego sprawa wróci na wokandę. Kim jest oskarżony nie trzeba nikomu przypominać. Ściśle rzecz biorąc nie trzeba przypominać o co jest oskarżony. Bo kim jest naprawdę Władysław Dębski nie wie jeszcze ani sąd ani biegli.

Okoliczności sprawy przypominają nieco „Obietnicę" Dürrenmatta. W jakimś tam procencie prawda ustalona przez sąd zbliża się do fikcji literackiej. Obiegowa opinia publiczna czyli plotka napisała wokół sprawy Dębskiego jeszcze makabryczniejszą książkę niż pisarz szwajcarski. Ludzie pamiętają jeszcze Oświęcim i palenie ciał w krematoryjnych piecach. I wysoko rozwiniętą technikę zagłady. A ta retrospekcja przemieszała się nagle z teraźniejszością. Pewnie dlatego ogródek i szkielety. I mit o seryjnej produkcji nieboszczyków.

Okoliczności sprawy przypominają film pt. „Ów biały dzień", którego scenarzystą był nie kto inny jak właśnie Dürrenmatt. Pisarz, wyznał gdzieś, że scenariusz „popełnił" na zamówienie. Chodziło o zwrócenie uwagi opinii publicznej na zagadnienie niebezpiecznych szaleńców. Film miał w swoim założeniu pouczać o ciągłym zagrożeniu, które dla życia ludzkiego stwarzają pomyleńcy. Niepoczytalni pomyleńcy. A tych wcale nie tak łatwo rozpoznać w naszym nieco zwariowanym świecie. Wątpliwości mają już nie tylko zwykli śmiertelnicy. Psychiatrom też ich nie brak.

Ludzie, jak wiadomo dzielą się na psychiatrów i na wariatów. Często zwariowane są tylko okoliczności, ale wariatem zostaje człowiek. Z humanitarnego punktu widzenia to mniej groźne, niż gdy staje się odwrotnie. Na szczęście jednak minęły bezpowrotnie czasy, kiedy skazywało się ludzi, którzy nawet nie zdawali sobie sprawy z tego, że są skazywani. Niepoczytalność wyklucza karę. Wie o tym każdy obrońca i każdy oskarżony. Dlatego czasem dobrze jest posiadać wariackie papiery.

Wariackie papiery to nierzadko jedyna linia obrony. Trudne dzieciństwo służy pobudzeniu gruczołów łzowych sędziów i publiczności. Ale wariackie papiery są atutem nie do odparcia. Bo sąd może się wzruszyć trudnym dzieciństwem, ale najczęściej się nie wzrusza. Rutyna. I zbyt wielu próbuje wzruszyć w ten sposób. Ale wariackie papiery sąd musi uwzględnić. Zdanowicz też próbował wyrobić sobie takie papiery. Jeżeli zaś czyn jest odrażający lepiej nie wspominać o trudnym dzieciństwie, bo każdy nowy fakt pogłębia tę odrazę. Wtedy zostają wyłącznie wariackie papiery jako jedyna klapa bezpieczeństwa.

Z wariackimi papierami to akurat odwrotnie jak z ustaleniem ojcostwa. Można stanowczo stwierdzić, że mężczyzna nie jest ojcem dziecka, kiedy nie zgadzają się grupy krwi. A czy nim jest tego nie można rozstrzygnąć. Można stanowczo stwierdzić, że ktoś korzysta z dobrodziejstwa art. 17 kk w razie, gdy się u takiego kogoś stwierdzi symptomy choroby wyłączającej poczytalność. Na przykład w wypadku schizofrenii czy demencji starczej, najczęściej sprawca przestępstwa nie tylko nie zdaje sobie sprawy z tego co robi, ale i nie ma wpływu na przebieg tego zdarzenia, bo nie posiada woli. I taki człowiek chory, choćby był krwawym mordercą, będzie kierowany na leczenie, a nie do więzienia.

Są więc wypadki, kiedy stanowczo można stwierdzić, że ktoś jest niepoczytalny, ale psychiatra z urodzenia zawsze będzie miał wątpliwości, gdy przyjdzie mu orzec o psychicznym zdrowiu. Bo tutaj nie ma żadnej normy, każdy ma swoje nawyki i dziwactwa, które jego samego nie dziwią. Łatwiej więc ustalić, że ktoś jest wariatem niż że nim nie jest, zwłaszcza gdy okoliczności jakiejś sprawy nie bardzo są jasne. Gdy są „poszlaki" objawów chorobowych, które mogły mieć wpływ na przebieg czynu pod legającego osądzeniu, natomiast samych objawów nie ma.

W sprawie Dębskiego sąd wysłuchał pięciu lekarzy psychiatrów. Pięciu głosów, które dają się sprowadzić do dwóch głosów. Po pierwsze, że Dębski nie wykazuje odchylenia od normy. Że abstrahując od wszystkiego jest człowiekiem zdolnym do pełnego rozpoznania znaczenia czynu, I że sam trzyma cugle swojej woli. Jeśli więc popełnił zbrodnię powinien odpowiadać za to co popełnił. I ten głos trzech lekarzy był głosem bardzo odważnym. Ci trzej ludzie brali na siebie odpowiedzialność, piekielną odpowiedzialność. Mieli odwagę stwierdzić, że coś jest czarne. Obrona rzecz jasna wyraziła zdumienie i zauważyła że „to coś" jest raczej białe. Bo okoliczności, bo jak spojrzeć na to z boku, bo jak spojrzeć en face. I wtedy, po raz drugi sąd wezwał ponownie lekarzy. Innych lekarzy. Czy coś jest białe czy czarne, zapytał sąd. Nie, powiedzieli nowi lekarze, ani białe, ani czarne. Jest po prostu szare. Proszę się przyjrzeć.

W ten sposób powstała rozbieżność w opiniach biegłych lekarzy psychiatrów. Taki jest klasyczny mechanizm powstawania podobnych rozbieżności. Trudno jest całkowicie przekreślić opinię poprzedników. Wybiera się więc najbardziej oportunistyczny sposób — pośredniość. A więc, jak w tym wypadku ograniczoną poczytalność. Czy jak kto chce — art. 18 kk. Sprawdziło się więc proroctwo Wilmannsa, który nie był prorokiem tylko naukowcem i jeszcze w 1927 przestrzegał, że poczytalność zmniejszona mogłaby się stać dogodną furteczką dla rzeczoznawców, kiedy nie dość starannie zbadają oskarżonego. W każdym razie nie dość starannie, żeby wydać opinię, która może rozstrzygnąć o gardle lub uwolnieniu. Bo w razie poczytalności zmniejszonej łatwiej się biegłemu uporać z tym, co zwykle się nazywa wyrzutami sumienia. Biegły zrobił swoje: miał cień wątpliwości, więc orzekł poczytalność zmniejszoną. Niech sobie teraz sąd co chce zrobi z tą opinią. Niech sąd zastosuje nadzwyczajne złagodzenie kary, albo niech nie stosuje. Bo w razie poczytalności zmniejszonej sąd może karę złagodzić. Ale sąd nie musi jej łagodzić. Decyzja spoczywa w ręku sędziego. Ja biegły, wątpliwości, które sam posiadam, tłumaczę na korzyść oskarżonego. I przetrawione wątpliwości podaję sądowi w postaci opinii. Jako pewnik. A przy tym, ja biegły ignoruję zasadę, że tylko sąd ma obowiązek i prawo tłumaczyć w ten sposób wątpliwości.

Co robi więc sąd, który jest związany zasadą in dubio pro reo. Sąd prosi o trzecią wypowiedź. Nowych specjalistów z tej samej dziedziny.

W tej chwili oskarżony Dębski przebywa na obserwacji psychiatrycznej w specjalnym zakładzie karnym. Między zakładem karnym, a sądem trwa wymiana listów. Sąd prosi o opinię. Sąd domaga się opinii. Przy tego typu obserwacji można z dużym prawdopodobieństwem wykluczyć symulację oskarżonego. Nikt nie potrafi tak konsekwentnie i tak długo udawać choroby psychicznej. A zaczął się bodaj siódmy miesiąc obserwacji. W ciągu siedmiu miesięcy można oskarżonego prześwietlić na wylot.

Ale zakład, gdzie przebywa Dębski, już dwukrotnie uchylił się od wydania opinii. Dwa miesiące temu tłumaczył się urlopem lekarza, który mógłby wydać taką opinię. Jak długo ludzie mają urlopy? Chyba, że to urlop macierzyński. Opinia rodzi się tak długo, jakby to był urlop macierzyński.

Skryba

Wszystko co żyje jest mądre, nawet osioł czyli Zwierzęta patrzą na nas

Dalszy ciąg ze str. 1

Rzekomo „głupie", bo głupie to ono nie jest! Gaworzy przecież do swej matki, porozumiewa się z nią miną i gestami, ma swój język mruknięć i beków, podobnie jak niektórzy dzicy, co mają tak samo wąską skalę mruknięć i pobekiwań, lub jak gęsi, których język został nareszcie odczytany przez pewnego uczonego — on go sobie przyswoił i komenderuje gęsiami jak gąsior lub sierżant swymi podwładnymi...

Bo nikt nie jest głupi, drodzy, nawet osioł! Wszystko, co żyje, ma swoją przebiegłość: pewna ryba głębinowa jest pływającą elektrownią: oświeca spód i wierzch swego ciała oraz tył i przód różnokolorowymi żarówkami, których natężenie zmienia według swej potrzeby, a my, my ludzie mądrzy, ileż lat musieliśmy czekać na różnych głupców Faradayów, Marconich, Edisonów, Maxwellów, żeby sobie zaświecić żarówkę, zwyczajnąlub elektronową. A przecież bocian przebywa podróż z Afryki do Europy nie kierując się żadnymi kompasami — ani radarem; zaś Michał Montaigne, filozof, mówiąc o budowie wielbłąda, nie znajduje w świecie zwierząt innych budów cielesnych, które byłyby bardziej strzeliste, a zapewne i śliczniejsze — od wielbłądziej!

Kiedyś do przychodni przeciwalkoholowej dla zwierząt przyprowadzono konia. Było to ogromne szkapisko, na pierwszy rzut oka głupsze od muła. — „Bijemy go i bijemy — skarżyła się właścicielka — a on wszystko przyjmuje jak drąg. Wypił nam z wiader całe wino weselne, bijemy go, a on woła wzrokiem o dolewkę, i żadna chłosta nie robi na nim wrażenia. No, panie weterynarzu, jest to nieczuły drąg!"

Jak „drąg", powiedziała, rozważmy!

A przecież takimi samymi nieczułymi drągami, nieczułymi na żadne cierpienia, byli filozofowie stoiccy... i z tego powodu nazywający się ludźmi szczęśliwymi!

Ten koń „drąg" był myślicielem... Był fakirem, był yogą, był tobą samym, gdy stoisz w ogonku w sklepie — i zamiast chwycić za ciężarek i zrobić z niego użytek, obserwujesz z chłodnym spokojem, jak jesteś bezczelnie z wszystkiego, wszędzie — i niemal przez wszystko, co złodziejskie, okradany — i wiesz, że to co zbyt dręczące, ma zawsze krótkie nogi, bo kiedyś, prędzej czy później, złodziej będzie musiał wydłużyć nóżki, żeby precz uciekać.

A więc wierzysz w sprawiedliwość, czyli jesteś optymistą... I koń „drąg" zapewne też musiał być optymistą... Bo myślał, że dłużej konia niż bata! I miał słuszność: bo go musieli odprząc i przyprowadzić niemal jak dziecko, do weterynarza, i szukać na niego rady, lecz na stoicyzm nie ma rady, jak nie znalazł jej królik grecki, tyran, gdy dręczony przezeń mędrzec, wyciągnięty na ostatnie spytki, odgryzł w odpowiedzi na nekanie swój język — i plunął nim w twarz swemu dręczycielowi.

Ale wracając do tej chętki zamienienia się w cielątko: to — jadąc pociągiem i ledwo utrzymując się na powierzchni tej skisłej zawiesiny z płaszczów, walizek, koszyków z krzyczącym drobiem i baniek z mlekiem, wiezionych „na sprzedaj" do miasta przez mleczarki, podające sobie do ust na końcu noża kostki chleba z wołowiną — czy nigdy nie wzdychaliście do swobody panującej w wagonach bydlęcych, gdzie każda krowa i wół ma swe należne miejsce, siano i wodę, czy nie zazdrościliście zwierzętom wolnej od paszportów i rewizji celnej oraz przymusu biletowego podróży pasażerów czworonożnych, co — syci i napojeni, nie myślący o wczoraj, tylko o dobrym dziś, ani o trudnościach zakwaterowania — podróżują z Północy na Południe, z Południa na Północ — i porykują zdałoby się... trwożnie, a oni, ryczący pasażerowie czworonożni... rykiem wyrażają radość z przezwyciężania oporów przestrzeni. Tę radość co może powstawać tylko dzięki udostępnieniu zwierzętom dobrodziejstw kolejnictwa. Tę samą radość, co skłania do ryku młodzież puszczającą się na wagary autostopem lub czepiającą się zadów tramwajowych.

Tu mamy dowód, że wespół ze zwierzętami tworzymy jedną nierozerwalną całość: rodzinę, skoro przy pomocy tych samych dźwięków, co one, wyrażamy te same uczucia.

Dowodów na tę jedność byłoby znacznie więcej, gdybyśmy zaczęli mówić o zanieczyszczaniu samochodów ciężarowych przez autostopowiczów i wagonów przez bydło.

Ale to dowodzenie należy do innego rozdziału naszych rozważań, którego dzisiaj nie będzie. Będzie innym razem, gdy przyjdzie nam ochota na myślenie.

Ale skąd to pretensjonalne objaśnienie: „dysertacja filozoficzna" dla twego pseudofilozoficznego bełkotu, zapytasz. Skąd drugi tytuł: „Zwierzęta patrzą na ciebie"?

No, bo patrzą! Jeśli mają oczy otwarte, to muszą patrzeć!... Ty patrzysz na nie — i one patrzą na ciebie.

Patrzą, patrzą, z pogardą patrzą, ty zwyrodniała zwierzyno w kapeluszu lub cyklistówce, pożerająca istoty, co nie mają ochoty pożreć ciebie!... Patrzą, patrzą, ty chodzące wstecznictwo biologiczne, co potrafisz wystrzelić rakietę, a nie potrafisz szczypać trawy jak żyrafa, stojąc, co nie jesteś strzeliste budową, bodaj jak wielbłąd — już nie mówiąc o słoniu, wobec którego każdy sztangista, nawet najmocniejszy, nawet tyle nie znaczy, co mucha. Patrzą, patrzą na ciebie, który chełpisz się, że jesteś koroną stworzenia, gdy, mówiąc bez ogródek, jesteś jedną wielką pomyłką Natury, która od wielu milionów lat na pewno żałuje, iż ciebie popełniła na swą zgubę.

Ty wielki niedostatku biologiczny! ty przeciągnięcie ewolucyjnej struny! ty przegięcie pałki! ty złamany na szczeblu drabiny administracyjnej, jakby powiedział Jan Jakub Rousseau do Karola Darwina, gdyby obaj tak długo musieli czekać na tramwaj, jak ja, z powodu czego znowu się spóźniłem do pracy, znowu mam kreskę i znowu w tłoku nadwichnąłem sobie obojczyk — a kto wie nawet czy w ścisku mój żołądek nie zmienił swego położenia, nie obsunął się parę decymetrów głębiej niż zwykł się obsuwać w czasie mych największych zżymań.

(Powyższą pracę doktorską o temacie jak wyżej można przeglądać na tym miejscu, na którym się w tej chwili znalazła. Zarzuty można stawiać wszędzie i o każdej porze nocy i dnia. Zarzuty odbijam tak łatwo jak piłeczki pingpongowe).

ZYGMUNT FIJAS

JAN BOLESŁAW UŻÓG

JESIENNA NOC

Niech swoje wiatr kości rozniesie
i z bukwią rozsypie po lesie,
niech będzie i czarny i cichy
krzyk sowy w ponocną paradę.

Z łba trupa niech będzie latarnia,
niech kości oberżnie tokarnia
i tokarz niech złoży z nich szprychy
na koła, którymi pojadę.

Niech wilki mi wyją u dyszla
przez doły okopisk, zakisła
i cielę niech wloką z obory,
pod brzuchy im liście niech ściele

Strzał nagły, i drugi, i trzeci.
Niech gwiazda to słyszy i zleci.
Niech pachnie z brzozowej dym kory
jak świeca z trumienki w kościele.

Ja przecież uduszę się w mieście
jak ryba na sieci z przetaka!
Ja chyba rozbiorę się z żeber,
bo lęk mnie jak granat rozerwie.

Jest sidło przetaka na karpie
i sidło przetaka na wróble.
Więc rybę do wody wypuśćcie
i przetak na kołku zawieście.

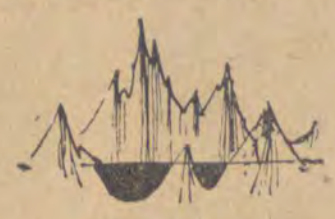

TRONY

Padały i padają trony,
a kto pamięta strzał z Aurory?
Siejącym krew na bój przez bory
cień dział zaściela mech zielony.

Pijcie po trony dziegieć z kadzi —
wiozą na szafot znowu gości
i milion par oczu w wściekłości
karoce w czarną mgłę prowadzi.

Hej, hej, zgub tysiąc i zdobywań,
stokroć się tępi nóż kulawy.
Oto ci ich, nie moje prawo
w tysiącu pszczelich słońc nad niwą.

Stary, scherlały patrzę w koło
i widzę coś tam, coś rozumiem,
i tak jak mogę, tak jak umiem,
kręcę się wedle nogi stołu.

A kto nie szydzi w radzie
i nie stał, gdzie się z ziemi igra,
niech wyjdzie, a stolicę wygra.

WOLNOŚĆ

Nie wierzę w ziemię, w wieś, nie wierzę w miasto,
nie wierzę w świętych, ani w piekło, wcale.
Ufam psom, ostom, łapom ich kolczastym
i tych, co odpuszczają diabłu, chwalę.

Dajcie mi wątpić w gniew, nienawiść, w różę
z zielonych szydeł, podłość karalucha.

(Co tylko się muzyką zwie, w kaburze milczy. U pasa pana Boga słucha).

POLONICA

CZY NALEŻY SPALIĆ HRABINĘ?

W „Les lettres françaises" (z 27 lutego br.) ukazał się artykuł Pierre Bergera pt. „Czy należy spalić hrabinę de Segur?" Hrabina de Segur była znaną w okresie fin de siecle pisarką francuską, pochodzenia rosyjskiego, która występowała stale w obronie Polski. Pozostało po niej wiele książek, pisanych dla dzieci, a właściwie pierwotnie dla jej wnuków. Bohaterkami jej książek były często sieroty lub dzieci, których rodziców skazano na zesłanie. Często były to dzieci polskie.

W cyklu artykułów na łamach „Les lettres françaises" autorzy występują bądź w obronie książek tej pisarki, bądź przeciw nim. Dla nas, polskich czytelników prasy francuskiej, jest to przypomnienie pisarki, dziś już zapomnianej, która żywo interesowała się losami naszego kraju.

TYDZIEŃ POLSKICH FILMÓW

W dniach od 21 do 27 lutego br. odbył się w Monachium Tydzień Polskich Filmów. Pokaz siedmiu nie wyświetlanych jeszcze w NRF filmów fabularnych i jedenastu krótkometrażowych zorganizowały wspólnie niemiecki Export-Film i „Film Polski". Jak donosił „Frankfurter Allgemeine Zeitung" na otwarcie Tygodnia przybyli do Monachium Jerzy Bossak i Roman Polański, a także Barbara Krafftówna i Lucyna Winnicka.

NOWA KSIĄŻKA S. LANDMANN

Salomea Landmann, mieszkająca w Szwajcarii autorka dwu książek o humorze żydowskim, wydała obecnie nowy tom pt. „Koschere Kostproben", w którym znajdujemy wiele tzw. poloniców gastronomicznych. Oto tytuły niektórych spośród nich: „Polnische Schnitzel und Zrazy", „Golabki", „Polnische Kugel", Polnischer Fisch", „Kascha" itp. W książce S. Landmann znajduje się m. in. następująca anegdota. Ojciec ze wsi przyjeżdża w odwiedziny do syna mieszkającego w Warszawie. Syn pokazuje ojcu ciekawsze obiekty stolicy. Na jednym z ruchliwych placów przed wysoką kamienicą ojciec się zatrzymuje i zaczyna się drapać. „Ojcze — upomina go syn zażenowany — tego tu nie można robić. Warszawa to nie Garwolin".

„Ech, głupstwo — odpowiada stary — nie będę przecież za każdym razem, gdy chcę się podrapać, jechał do Garwolina".

WARMIŃSKI W NRF

Sztukę Janusza Warmińskiego „Człowiek z głową", graną przed paru laty w Małej Sali Teatru Nowego, przygotowuje obecnie scena niemiecka w Wilhelmshaven pod zmienionym tytułem „Die Schule der Karriere" (Nauka kariery). Prapremiera niemiecka tej sztuki odbędzie się 7 marca br.

HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ PO FRANCUSKU

Jak donosi „Les Nouvelles Litteraires" z dnia 27 lutego br., ukazała się we Francji „Histoire de la Literature Polonaises", pióra Maxime'a Hermana. Autor, który jest znawcą literatury rosyjskiej i tłumaczem na francuski dzieł Bierdiajewa i Sołowiowa, okazał się również nie byle jakim znawcą piśmiennictwa polskiego. Jego książka o literaturze polskiej stawia go w rzędzie tak zasłużonych polonistów francuskich jak Jean Fabre i Paul Cazin. Autor recenzji o książce Hermana pisze: „Może znajdzie się wydawca francuski, który nie będzie się kontentował wznawianiem „Quo vadis", lecz postara się odkryć dla czytelnika francuskiego fantastyczną epopeję Słowackiego „Król-duch" lub „Lalkę" Prusa, o których tak pięknie pisze Herman". W zakończeniu recenzji czytamy jeszcze: „Nie róbmy sobie iluzji, nie znamy prawie wcale literatury polskiej. I to jest konstatacja, wyrzut i dodatkowy powód, aby przeczytać książkę Hermana".

O „SZALONEJ GALERII" W NRF

Na łamach „Die Welt" (z 29 lutego br.) ukazała się obszerna recenzja z książki Mariana Minicha „Szalona galeria", wyd. nakładem Wydawnictwa Łódzkiego w 1963 roku. Autor recenzji, Valentin Polcuch, omawia szczegółowo treść i charakter książki, przetykając swój artykuł cytatami. W pewnej części recenzji, gdy Polcuch przytacza rozmowę o Matejce, redakcja dodaje od siebie: „Mało znaczący polski malarz historyczny narodowych pamiątek". Załatwienie się z Matejką w jednym zdaniu, i to właśnie takim zdaniu, wydaje nam się, oględnie mówiąc, co najmniej nietaktem. Zwłaszcza nietaktem jest, gdy mówią o tym Niemcy, którzy w niedawnej przeszłości niejedną pamiątkę historyczną z Polski wywieźli. Redakcja poważnego dziennika winna o tym pamiętać. Przynajmniej od czasu do czasu.

POLONICA

Zwierzenia aktorów

ZYGMUNT MALAWSKI
o sobie i teatrze

Między Hieronimusem z „Czerwonej Magii" Ghelderode'a, tym demonicznym starcem pełnym bujnego temperamentu i zaborczości – a Zygmuntem Malawskim w życiu prywatnym, jest przepaść nie lada, dająca jasne pojęcie o skali możliwości scenicznych tego aktora. Zygmunt Malawski pogodny, zrównoważony mężczyzna, znacznie oczywiście młodszy, niż jego ostatni bohater sceniczny jest zresztą nie tylko zaprzeczeniem cech Hieronimusa, ale i tego, co się zazwyczaj przypisuje artystom, zaprzeczeniem więc nieładu, niesystematyczności, lekkomyślności. Ot, na przykład – zapytany o role, jakie grał w swym życiu pokazuje mi starannie prowadzony wykres ze skrupulatnie odnotowaną liczbą 70 ról w 51 sztukach. Pan Malawski także dokładnie osobiście sprawdza scenę, rozmieszczenie mebli i rekwizyty przed każdym aktem sztuki, w której występuje.

Być może wynika to z rodzinnego kultu dla sztuki dramatycznej, w jakim wzrastał:

Z. MALAWSKI: – Za kulisami, wprawdzie amatorskiego teatru, w jakim grywał mój ojciec, kręciłem się już jako pięcioletni bąk. W roku 1940 w Białymstoku zobaczyłem w teatrze Al. Węgierki „Wesele Figara"; był to dla mnie prawdziwy wstrząs. Zrozumiałem czym może być teatr i jak nieporadne były te nasze amatorskie poczynania. Wtedy to w marzeniach swoich postanowiłem zostać aktorem, a póki co – jako licealista pracowałem w teatrze szkolnym. Pewnego dnia – było to już po wojnie – gdy szła tam w mojej reżyserii „Noc listopadowa" (A działo się to w Dzierżoniowie na Dolnym Śląsku – zawitał do nas niezwykły gość – Irena Solska, znakomita aktorka i żona Ludwika Solskiego; pełniła ona wówczas funkcję delegata Min. Kultury i Sztuki dla spraw Dolnego Śląska. W skupieniu obejrzała przedstawienie do końca, po czym wezwała mnie do siebie i wręczyła list polecający do Leona Schillera. Musiałem przyrzec, że pojadę do Łodzi do Szkoły Teatralnej. Spełniło się moje największe marzenie teatralne. Przed drzwiami szkoły krążyłem dobrą godzinę zanim zdobyłem się na odwagę i wszedłem. To było nie byle co, stanąć przed obliczem Wielkiego Schillera. W ten sposób zacząłem swoją drogę teatralną.

ODGŁOSY: – Jaki typ postaci, jakie z dotychczas granych ról najbardziej Panu odpowiadały?

Z. MALAWSKI: – Z najbliższych sercu były chyba – Gabryś w „Domku z kart" Zegadłowicza, Makrot w „Nocy listopadowej", Lorenzo Perez w „Ciemności kryją ziemię" Andrzejewskiego, Kasjusz w „Juliuszu Cezarze". Postacie te łączy może pewne pokrewieństwo, oczywiście grywałem i role krańcowo różne – także i komediowe, ale w tym typie ról charakterystycznych, jak wspomniane najlepiej i najpełniej mogę się wypowiedzieć.

ODGŁOSY: – A czy mógłby Pan zdradzić, jakie jest Pana marzenie jeszcze nie spełnione?

Z. MALAWSKI: Aktorzy są przesądni – śmieje się Zygmunt Malawski – nie lubią zdradzać swych marzeń, żeby nie zapeszyć. Ale zaryzykuję. A więc „Cyrano de Bergerac" Rostanda, rola, na którą czekam. Tak się pechowo złożyło, że gdy sztuka ta wchodziła w próby w Teatrze Nowym, ja w tym czasie byłem obsadzony w „Czerwonej Magii", w której zresztą gram jeszcze. Chciałbym też bardzo zagrać Czebutkina w „Trzech siostrach" Czechowa. A niezależnie od tych marzeń pragnę grać dużo i grać wszystko, nawet epizodyczne postacie dają często bogaty materiał do stworzenia pełnej życia i ciekawej postaci.

ODGŁOSY: – O życiu i pracy aktorów krąży dużo anegdot i opowieści. Czy przeżył Pan na scenie jakiś przykry lub zabawny moment, jakąś nieprzewidzianą sytuację?

Z. MALAWSKI: – O, niejednokrotnie. Szczególnie utkwił mi w pamięci pewien spektakl, grany na wyjeździe w Zgierzu, „Pociąg do Marsylii". Była tam scena buntu, w której zrywałem z głowy hełm i wyrzucałem go za okno. Gdy zwykłym ruchem rzuciłem mój hełm, usłyszałem huk i hełm jak bumerang upadł u mych nóg na środku sceny. Okazało się, że na tej małej scence tuż za oknem była ściana, o czym nie wiedziałem. Kiedy indziej, pamiętam, grałem w „Łaźni" Majakowskiego i nagle – zapomniałem kwestii, nastąpiła tzw. „dziura": zupełna pustka. Nie wiem co mówić dalej i w dodatku ze zdenerwowania nie słyszę suflera. Odruchowo spojrzałem na lożę pierwszego piętra, gdzie miał zwyczaj siadywać dyr. Dejmek, spostrzegłem charakterystyczny błysk okularów: Dejmek jest w loży. To sparaliżowało mnie do reszty – chciałem uciec ze sceny; w ostatniej chwili z trudem się opanowałem.

ODGŁOSY: – Może jeszcze słów parę o planach na najbliższą przyszłość?

Z. MALAWSKI: – W tej chwili próbuję w sztuce Leonowa „Zamieć" w reżyserii W. Pilarskiego i T. Minca. Gram rolę alkoholika Łopałuchina. No, a poza tym niedaleko już 15-lecie mej pracy na scenie – pragnę doczekać tej daty w Teatrze Nowym w Łodzi.

Rozmawiała: **IRENA ZUCHOWICZ**

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Pisarze za Odrą

Pomniki weimarskie stoją w wielkich czapach śniegu, na rynku jarzy się ogromna choinka, zapobiegli we niemieckie gospodynie śpieszą do domów obładowane świątecznymi zakupami. Pora jest niezbyt przyjazna dla imprez kulturalnych o dużym marginesie ryzyka, a taką imprezą jest zawsze wieczór poezji, cóż dopiero – poezji debiutującej. Kiedy indziej podobno trudno znaleźć miejsce, tym razem piękna, oświetlona a giorno sala wydaje nam się źle wybrana, jest za duża, za uroczysta. Ledwie pośrodku pierwszych trzech rzędów trochę młodzieży — jak byśmy powiedzieli – licealnej i parę osób starszych, zapewne z najbliższej rodziny debiutantów.

W szatni otrzymujemy całkiem apetycznie, choć skromniutko wydany zbiorek – „Pragnę być zawsze aktualnym". To właśnie wiersze tego zbiorku usłyszymy zaraz z ukwieconej estrady, autorzy siedzą już tam, swobodni, przekonani o celowości swej poetyckiej pracy: dziesięć osób w wieku 19 – 40 lat (notki biograficzne, podane na końcu zbiorku, nie pozostawiają co do tego wątpliwości). Jest między nimi docent, stenotypistka, są lekarze, nauczyciele i gospodynie bez zawodu. Wszyscy należą do Zespołu Roboczego Młodych Autorów Okręgu Erfurt – Gera. Przy każdym oddziale Związku Pisarzy działa w NRD taki zespół. Kierownik w ciepłych słowach prezentuje zebranym swych podopiecznych, zaczynamy.

Słucham poprawnie recytowanych, a właściwie odczytywanych wierszy. „Poezja – godna uwagi – stoi obok niepewnych jeszcze wierszy, które chcą powiedzieć coś istotnego, coś ważnego, ale nie znalazły jeszcze odpowiedniej formy". To z przedmowy. Słucham więc niepewnych wierszy, trochę retorycznych, bardzo prostych – gdzie im do naszych udziwnień – trochę szkolnych i amatorskich słucham i wierzę, że stoi „obok nich" zwiewny fantom poezji, tak jak stoi obok każdego szczerego wyrazu młodości, wiary, nadziei. Bardzo mile majsterkowanie – chce mi się pomyśleć. Ale to jest traktowane bardzo poważnie. Czyż nie mam w ręku „tomu liryków", wydrukowanych zanim zostały po raz pierwszy tutaj koleżankom i rodzicom odczytane? Tomik z przedmową, pełną pryncypialnych ocen („te wiersze idą po śladach rzeczywistości, widzą ją niezmąconym spojrzeniem", „wyraźne jest dążenie autorów, aby nie tylko działać jako liryczny kronikarz, lecz aby ukazywać jednocześnie drogę w przyszłość", „nasze socjalistyczne społeczeństwo jest podstawowym przeżyciem tych młodych liryków"), z biografiami, wydany nakładem Wydziału Kultury Okręgowej Rady – a jeszcze laurent wielu nagród, poeta i prozaik Armin Müller na sali i kwiaty i muzykowanie w przerwach na flecie, na wiolonczeli – cóż za uhonorowanie!

Nie, nie sama zazdrość podpowiada mi uwagi z lekka sceptyczne, choć i ona znajduje tu pożywki niejakie. Mogę sobie łatwo wyobrazić, co by się stało u nas, gdyby młodzi poeci poczuli się otoczeni tak potężną opieką, tak rozpieszczani przez „czynniki". Posłużyłem się impresją z wieczoru debiutantów jako przykładem, ilustrującym w szerszym znaczeniu sytuację pisarza w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Opory przed przyjęciem nowego, rewolucyjnego spojrzenia na życie były ze zrozumiałych względów w pierwszych latach istnienia Republiki silniejsze tutaj, niż gdziekolwiek indziej na świecie. Mieszczaństwo, z którego wszędzie rekrutowała się ogromna większość inteligencji, także inteligencji twórczej, w Niemczech stało się bazą skrajnego faszyzmu. Niewielką postępową grupę twórców rozniosły losy po całym świecie, wielu z nich nie ma już wśród żywych, niektórzy nie wrócili, ci co wrócili stanowią szacowną elitę klasyków. Na zjeździe krajowym Związku Pisarzy w Halle naliczyliśmy kilkanaście głów przyprószonych siwizną, lub łyskających wysokimi czołami. Przeważającej większości obecnych brakowało jeszcze sporo do czterdziestki. A i wśród tych starszych wiekiem, gdyby za kryterium przyjąć lata stażu literackiego, znaleźlibyśmy wielu „młodych", takich co stosunkowo niedawno przyszli do literatury z całkiem innych zawodów: ślusarzy, murarzy, szoferów. Nowy społeczny porządek, przemieszane ode dna społeczeństwo – oczekiwały na nową, swoją sztukę. Ponieważ wczorajsze tradycje nie były najlepsze, należało szukać źródeł w przekazach lat dawniejszych i w tych spośród dzisiejszych społecznych kręgów, które nie miały dotąd możności rozwinąć swych sił twórczych: w proletariacie. Dane szansy każdemu pracującemu, „podejrzanemu o talent", otoczenie go najstaranniejszą opieką, udzielenie wszechstronnego poparcia potraktowano jako akt sprawiedliwości dziejowej, ale też – jako konieczność jak najszybszego stworzenia nowej kadry twórczej, nie obciążonej reliktami przeszłości, związanej absolutnie z Republiką i jej sprawami.

Utworzono w Lipsku Instytut Literacki. Ludzie z różnych zawodów, zdradzający pisarskie uzdolnienia, przyjmowani tu z otwartymi ramionami na internatowe warunki, nabywali w Instytucie koniecznej sumy wiedzy ogólnej, podstawowych szkolnych wiadomości, i uczyli się lepszego rozumienia rewolucji. Oczywiście mogły się zdarzyć przypadki zbyt pośpiesznego typowania kandydatów do stanu pisarskiego, oczywiście mógł tu i ówdzie zadziałać niefortunny „klucz naboru". Osobiście – czemu dałem wyraz w dyskusji z arcysympatycznym dyrektorem Instytutu, Maksem Zimmerintegiem – myślę, że paroletnie pozostawanie ze sobą adeptów w nader bliskiej symbiozie, wysłuchiwanie tych samych kolokwiów, tych samych wzorcowych cytatów z tych samych arcymistrzów stwarza ryzyko uformowania zbyt podobnych wzajemnie sylwetek przyszłych twórców, ryzyko powstania „szkoły", grupy wzajemnie się adorującej. Kierownictwo Instytutu twierdzi, że to ryzyko opłacało się ponieść, a zresztą Republika dysponuje już nową szeroką bazą inteligencji powojennej, tej rekrutowanej ze wszystkich kręgów społeczeństwa; utalentowany syn robotnika krótszą ma dzisiaj drogę do twórczości, wiedzę ogólną zdobywa po prostu na uniwersytetach. Instytut zmienia więc charakter, toczą się dyskusje, trudno przewidzieć, co z nich wyfermentuje.

Nadal jednak istnieje wielkie zapotrzebowanie na „pisarzy dnia" i wiele instancji, instytucji i urządzeń społecznych wydaje się namawiać: piszcie, kochani, piszcie, dajemy jeszcze to i tamto i owo. Dajemy pisarzowi autorytet, o jakim chyba mogła być mowa jeszcze tylko w Związku Radzieckim. Dajemy „w ciemno" specjalne wykształcenie „zawodowe" w Instytucie Lipskim, dajemy ogromne nakłady prawie każdej książce, nawet tej niesprawdzonego, początkującego autora, dajemy honoraria...

Nie, tego też nie bardzo zazdroszczę, bo ostatecznie nie byłoby dobrze, gdybym uważał, że pisze się wyłącznie gwoli tej kury w garnku. Honoraria są bardzo wysokie, niewspółmiernie wysokie zarówno w stosunku do średnich płac w innych zawodach, jak i – co ważniejsze – do obiektywnej wartości i użyteczności dzieła. Za półgodzinne słuchowisko radiowe można otrzymać 5 — 8 tysięcy marek, a to jest suma, pozwalająca nieźle żyć przez pół roku! Więc nasi niemieccy koledzy biją nas o pięć długości standardem swych mieszkań, są zmotoryzowani, wolni od trosk materialnych. Piszą i wydają dużo, przeciętnie jedną powieść rocznie, oprócz słuchowisk, opowiadań, wierszy, scenariuszy itp. Znacznie rzadziej zabierają głos w prasie jako publicyści. Nie są do tego zmuszeni koniecznością zarobkowania, ale – trzeba i to powiedzieć – mniej mają możliwości, mniej łamów, mniej czasopism kulturalnych. A także i dlatego że – niech mi wolno będzie dopuścić się pewnego uogólnienia – nie ma tu ścierania się poglądów, odpadają dyskusje o sprzecznych i nieskończenie różnorodnych zjawiskach literatur obcych (współczesnych pisarzy zachodnich prawie że się nie tłumaczy), środowisko literackie jest nieomal monolitycznym blokiem, zwartym i jednomyślnym.

Znana to rzecz, że jesteśmy szczególnie uczuleni na zbytnią pryncypialność, na głoszenie gotowych prawd. Ole Bienkopp, tytułowy bohater książki Erwina Strittmatera, jest jednym z pierwszych – dopiero w roku 1963 – bohaterów na wskroś pozytywnych, przegrywających w ustroju socjalistycznym. Dla uczestników zjazdu w Halle bardzo wysoka cena tej książki przez sekretarza Związku, a więc na pewno ocena z pozycji oficjalnej, miała trochę posmak sensacji. Na ogół pozytywni bohaterowie mają rację i zwyciężają, a słowo „socjalizm" powtarza się w ich słowniku częściej od takich liczmanów jak „miłość", „zamożność", „wątpliwość".

Te książki jednak wydawane w pięknej szacie graficznej – są masowo kupowane i czytane żarliwie – w poczekalniach kin, w tramwajach, w pociągach. Pisarze bardziej niż u nas czują się ważni i potrzebni.

No cóż, tego to już możemy pozazdrościć.

Humor w starym wydaniu

Naszę kilkuletnie doświadczenia telewizyjne pozwalają wyprowadzać wnioski ogólne co do charakteru programu oglądanego na domowych ekranach. Jeden z nich sprowadza się do stwierdzenia, że wśród prezentowanych audycji panuje daleko posunięta schematyzacja. Nie wiadomo, czy jest ona wynikiem określonych schematów myślowych twórcy. Faktem jest, że za pełnymi nazwami kryją się raz na zawsze ustalone treści. Wygląda to mniej więcej tak: w naszym, pełnym sprzeczności wieku dwudziestym trudno jest czasem odróżnić dobro od zła. Trzeba więc zaaplikować widzowi ogromną dawkę przeżyć, które by wskazały mu drogę rozeznania. I wtedy oglądamy przez rok filmy o szlachetnym Zorro lub filmy o Robin Hoodzie.

Schematy panują nie tylko w dziedzinie filmów. Schematem programowym są przecież wszystkie audycje, których zadaniem jest postraszyć widza, wywoływać krańcowe napięcia, a więc Kobry rodzime czy obce, Kobry złe czy filmy Hitchcocka. Schematem wreszcie są wszystkie audycje, które w tygodniowym rozkładzie telewizyjnym noszą nazwę — program rozrywkowy.

Dziwnym zrządzeniem losu nazwa ta, przepuszczona przez telewizję, zmieniła swoje znaczenie. Trudno w tym miejscu starać się o definicję rozrywki, ale nie będziemy się chyba sprzeczać, że rozrywka musi bawić swojego odbiorcę. Twórcom telewizyjnej zabawy udało się wykpić od tego ciężkiego zadania. Zadanie to spełniają za nich filmy z rzadka transmitowane z różnych ośrodków. Natomiast programy rozrywkowe to już zupełnie inna sprawa. To rzecz traktowana śmiertelnie serio, nie ma w niej miejsca na dowcipy. Muzyczka, szansonistka, renomowany konferansjer. Co pewien czas anegdotka, z umiarem dawkowana, przede wszystkim zaś nazwiska, nazwiska... Pierwszej wielkości gwiazdy rozrywki, a czasem nawet Irena Dziedzic.

Jedynym wyłomem w tym typie zabawy był Kabaret Starszych Panów, reszta programów rozrywkowych była co najwyżej do pooglądania, ale nigdy dla zabawy.

Trudno powiedzieć czy autorzy audycji „Poznajmy się" zdają sobie sprawę ze swej, obrazoburczej roli w dziedzinie telewizyjnej rozrywki, czy są świadomi, że dokonali wielkiego przewrotu za pomocą wielkiego odkrycia: w programie rozrywkowym jest również miejsce na śmiech. Ale śmiech wywołują od początku do końca. Serie znakomitych pomysłów pojawiają się na ekranie tak często, że zdziwiony widz zaczyna się zastanawiać, czy ktoś z niego nie kpi i czyja to wina, że nie może zachować normalnej przy telewizorze powagi.

Konwencja audycji jest mu skądinąd znana: oto w gronie przyjaciół na rodzinnych imieninach znalazł się pewien pan, który mówi bardzo śmieszne rzeczy i wzbudza nieustanne śmiech innych. W „Poznajmy się" rolę tę spełnia obdarzony ogromną siłą komiczną Bogumił Kobiela. Wszystko co mówi co wymyśla, od pojedynczych słów do pomysłów z filmowymi projekcjami, jest bardzo zabawne. A na czym zabawność tych pomysłów polega? Nie wiem. I przyznaję, że bardzo trudno jest o tej audycji napisać sensownie coś więcej ponad stwierdzenie, że jest ona niezmiernie zabawna (a może właśnie za tym stwierdzeniem kryje się definicja dobrej rozrywki?). I że Kobiela i Fedorowicz rozbili schemat programów rozrywkowych w telewizji.

aJKS

ROZMOWA z Leszkiem Rózgą

O BAROKU NA BAROWYCH STOŁKACH

Leszek Rózga uważa się za ucznia Tyrowicza, Strzemińskiego i Wegnera. Wydział grafiki ukończył w Katowicach. Ostatnio na dwóch wystawach w Łodzi — w Związku Literatów oraz w Stowarzyszeniu Dziennikarzy — można było obejrzeć jego akwaforty. Uprawia on również malarstwo, ale od pięciu lat pociąga go głównie grafika. Ostatnio Rózga zaproszony został do udziału w wystawie grafiki w Lugano. Artysta może tam pokazać swoje prace tylko raz w życiu — na tym polega specyfika tej wystawy. Leszek Rózga dotychczas swoje prace eksponował m. in. w Tokio na Biennale grafiki i w Ossaka (1962), na Biennale rzeźby i grafiki w Carrara. W latach 1959—63 był wielokrotnie nagradzany m. in. otrzymał on Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za całokształt twórczości w związku z XV-leciem PRL.

Leszka Rózgę spotykam koło placu Wolności, niedaleko przystanku, podczas swego codziennego spaceru. Mieszka gdzieś w Zgierzu czy Pabianicach i czeka, jak widać, na tramwaj.

Nic mu nie mówię o tym, że w związku z ostatnimi jego dwiema wystawami akwafort „Odgłosy" zamówiły u mnie rozmowę z ich autorem. Speszyłby się zapewne i nic by z tego nie wyszło.

Jest zimno, trudno tak stać na mrozie i prowadzić rozmowę o sztuce. Leszek Rózga uśmiecha się, zresztą uśmiech prawie nigdy nie znika z jego twarzy. Zaraz, zaraz, co mi przypomina ten uśmiech jak i cała jego postać? Już wiem — jest w nim coś z przyczajonej, krępej postaci renesansowego mnicha, który zdobył jakieś wtajemniczenie. W tym wypadku jest to magiczna formuła sztuki, którą posiadł Rózga, a jeśli już mowa o wtajemniczeniu, to nie jest to wtajemniczenie pierwszego stopnia.

Rózga daje się z łatwością wciągnąć w rozmowę. Nie pojedzie tym tramwajem do Zgierza czy Pabianic, gdzie mieszka. Pojedzie następnym. Prowincja to dobry teren do doświadczeń. Jej obecność pamiętam dobrze w akwafortach Rózgi. Nieźle byłoby i o to go zapytać. Ale może nie wszystko od razu.

Na placu Wolności jest bar kawowy naprzeciw pomnika Kościuszki. Wchodzimy i siadamy na wysokich stołkach. Rózga zamawia oprócz kawy słodkie ptysie z kremem i je z apetytem. Zgadzałaby się ta cecha z moim porównaniem do mnicha... Rozmawiamy nieomal o wszystkim i rozmowa nasza potwierdza obfitość zainteresowań tematycznych, jaką zaobserwować można w jego grafice. Wreszcie wyczerpaliśmy wszystkie tematy i przychodzi moment, kiedy muszę zdekonspirować swój zamiar przeprowadzenia rozmowy dla „Odgłosów". Rózga uśmiecha się, znowu nie jest zaskoczony. Ale teraz już wiem, co mi przypomina ten uśmiech. Ten człowiek pod czterdziestkę siedzący obok mnie, wśród młodzieży, w barze kawowym naprzeciw pomnika Kościuszki, ma uśmiech modeli wielkiego Leonarda, jak już powiedziałem uśmiech wtajemniczenia. Przypominają mi się Rózgi akwaforty, z mnisią precyzją nawiązujące jak gdyby do techniki akwaforty klasycznej. Z tym właśnie związane jest moje pierwsze pytanie. Rózga odpowiada na nie, narzekając, że pytanie jest niby podstępne.

— Dlaczego akwaforta? I dlaczego właśnie taka? Już w czasie studiów interesowały mnie szlachetne techniki. Akwaforta zaś pociąga mnie bogactwem możliwości wyrazowych. Nawiązuje do technik XVI, XVII-wiecznej. Stąd może pańska uwaga o anachroniczności.

Tak, mówiłem o anachroniczności, o braku cierpliwości współczesnego twórcy, o nowoczesnych technikach powielania, które wyparły drzeworyt i akwafortę, choć w swoim czasie były one też właściwie tylko środkiem reprodukowania, zwykłą kliszą.

— Imponuje mi i pociąga subtelność grafiki barokowej — mówi Rózga — w moim wypadku przydatnej do oddania anachronicznej atmosfery małego miasteczka, którego pejzaż powtarza się często w moich pracach...

Rozglądam się dookoła. Młodzieńcy i kociaki na stołkach barowych nadstawiają uszu. Drętwa mowa... Każdy boi się tego epitetu, zwłaszcza my, oldboye. Ale trudno w innych kategoriach rozprawiać o problemach sztuki. Innego języka na razie nie wypracowano.

Kociaki i ich adoratorzy zajęci są sobą, mogę więc bez obawy ciągnąć dalej. Zresztą w tym środowisku barwę ochronną stanowi moja sportowa, wysłużona kurtka i fryzura Rózgi (na głupiego Jasia). Nasza rozmowa toczy się dalej. Ładuję teraz sążniste pytanie, które chyba zrobi mi cały artykuł, z obawą jednak, że nie otrzymam odpowiedzi.

— W swoich akwafortach posługuje się pan poetyką surrealizmu, ale nie można im też odmówić cech realistycznych. A więc surrealizm na usługach realizmu. Brzmi to paradoksalnie, choć jest to figura dość często spotykana we współczesnej sztuce.

Mistrz uśmiecha się tym swoim charakterystycznym uśmieszkiem, ale bynajmniej się nie zatraca. Patrzy na mnie spod oka, jakby chciał powiedzieć: o, trzeba się mieć na baczności...

— Nie bardzo sobie uświadamiałem ich stylistyczny rodowód — mówi. — W trakcie aktu twórczego trudno przewidzieć jego rezultat.

Mistrz wyraźnie się wykręca i to tym samym językiem, jakiego ja użyłem. Ale zaraz uderza z flanku:

— Sądzę, że proces twórczy jest wynikiem nagromadzonych doświadczeń i treści...

Sąsiedzi zaczynają się wiercić na barowych stołkach. Ale my, interlokutorzy, na razie jeszcze nie.

— ...sądzę, że wybór poetyki surrealistycznej — mówi Rózga — podyktowany został złożonością przeżyć w psychice współczesnego człowieka, pełnej komplikacji i wahań.

Czuję, że jest w tym coś z prawdy. A więc alienacja. Oddalenie. Wyobcowanie. Nasze stołki barowe zmieniają się w dwa okręty które od siebie odpływają. Już żałuję, że wdałem się w ten uczony dyskurs. Rózga jednak nie tylko trzyma się na powierzchni, ale świetnie żegluje dalej:

— ...to co kiedyś służyło do oddania koszmaru marzeń sennych — dziś może oddać koszmar przeżyć wojennych lub też ich pozostałości w psychice ludzkiej. To byłyby sprawy duże, ale oprócz tego są sprawy mniejsze.

Trudno się z tym nie zgodzić. Sprawy mniejsze i może ważniejsze. Są — ale jak do nich dotrzeć? A więc może jeszcze jedno pytanie.

— Akwaforty pana, panie Leszku, przypominają mi grafikę Bolesława Linkego. Nie idzie mi oczywiście o wpływy. Wpływologia to najtańszy chwyt krytyczny — wpływów nie widzę. Chodzi mi nie tyle o tematykę związaną bezpośrednio z wojną, ile z jej reliktami w psychice ludzkiej a jej właściwościami dezintegracyjności...

Spostrzegam się w porę. Przecież dostałem już odpowiedź na to pytanie. Kawa wypita, rozmowa drepcze w miejscu, a my sterczymy na barowych stołkach.

Dopiero druga kawa stawia dyskusję na nogi. Postanawiam raz na zawsze zerwać z pseudonaukowością pytań i zrobić wyłom w dotychczasowej praktyce tego rodzaju wywiadów...

— ...Czy pan lubi poezję i czy pan czytuje wiersze współczesnych poetów?

— Pytanie stereotypowe, przypominające wywiady z gwiazdami ekranu, ale może to i dobrze. Nareszcie wyrwałem się z zaczarowanego kręgu.

...Wydaje mi się, że każda pańska akwaforta to piękny, misterny wiersz, a jeśli nie wiersz — to przynajmniej bogato rozbudowana spiętrzona metafora...

Mój rozmówca przestał się uśmiechać zagadkowo i rzucił mi najchłodniejsze ze swoich spojrzeń. — Nie przyświecają mi specjalnie jakieś wzory literackie — powiedział — ale muszę przyznać, że w swoich pracach nie unikam literackości. Ostatnio staram się zmniejszyć tę cechę na rzecz lapidarnej, plastycznej wypowiedzi. Te same skojarzenia chcę wyrazić bez gadulstwa, prościej, zwięźlej. Zubożyć stronę anegdotyczną, a wzbogacić podteksty.

Fot. E. Kudaj

Ta słuszna uwaga obowiązuje chyba i zadającego pytanie. Dochodzę do wniosku po niewczasie, że i ja powinienem się streszczać. Niedługo przecież odejdzie ostatni tramwaj do Zgierza czy Pabianic. Zdeterminowany rzucam ostatnie, sakramentalne pytanie zamykające każdą tego rodzaju rozmowę:

— Nad czym mistrz pracuje? Co mistrz zamierza? Mistrz zechce się podzielić z czytelnikami „Odgłosów" swoimi planami na przyszłość?

Mistrz zechciał. Mistrz wstaje ze swego stołka. Ale już na mnie prawie nie patrzy. Raz po raz tylko rzuca jednym okiem na swój staroświecki zegarek (Longin). Wychodzimy z baru. Śnieg chrzęści pod naszymi nogami.

— To przypomina mi Rosję, mówi Rózga. Byłem niedawno z wycieczką w ZSRR. Fascynacja ikoną. Pan to chyba odgadł?

— Tak, odgadłem — mówię — Mam w domu dwa albumy. Feofan Grek, Rublow...

Mistrz mi przerywa:

— Przecież to pan ze mną przeprowadza wywiad, a nie ja z panem, a poza tym jest zimno i ucieknie mi ostatni tramwaj. Potem trzeba jechać taksówką. Zaspy.

Ten ostatni argument jest nie do zbicia. A więc nastawiam uszu, które mi marzną.

— ...Ikony są bliskie współczesnemu odczuwaniu, mówi artysta. Są współczesne są nowoczesne, prawdziwe. Pozbawione gadulstwa. Pracuję teraz nad linorytem. Zamierzam wykonać cykl, którego tematem będą właśnie asocjacje związane z moim zetknięciem się z ikoną. Nie będzie to oczywiście, bezpośrednie nawiązanie do malarstwa religijnego tego typu, ale sztuka bizantyjska odkryła mi nowe aspekty plastyczne. Trudno mówić już dziś o tym, co dopiero cukruje. Przecież ogólny zarys wcale nie gwarantuje powodzenia przedsięwzięcia. Poza tym sztuka jest sprawą intymną i trudno o niej mówić przed jej realizacją.

Mistrz wskakuje do tramwaju. Tramwaj do Zgierza czy do Pabianic znika za zakrętem.

Rozmawiał: JAN CZARNY

BEATLES-MANIACY

Moda na Beatles! W Europie, Ameryce, Australii. W 1963 roku sprzedano płyt z ich nagraniami za sumę 18 milionów dolarów. Drugie tyle przyniosła sprzedaż piosenek i występy w całej prawie Europie, a ostatnio i w USA. Z racji ich przyjazdu rozprzedano tam 200.000 koszulek gimnastycznych z portretami członków grupy, pół miliona peruk à la Beatles, 2,5 miliona albumów i pojedynczych płyt z ich nagraniami piosenek „firmy". W najbliższym czasie ukażą się w sprzedaży laleczki — Beatles, portrety — Beatles, odznaki — Beatles itd.

„Beatles" to nazwa czteroosobowego zespołu rock'n'rollu: George, Paul, Ringo i John. Jedynie ten ostatni, najstarszy z zespołu (ma 23 lata), jest żonaty. Beatles pochodzą z ubogich robotniczych rodzin z Liverpool. Pierwszy zawodowy zespół o nazwie „Krypa Kamieniarzy" zorganizowali (bez Ringo) już w 1955 roku. „Krypa" stała się zalążkiem dzisiejszego zespołu. „Beatles" pochodzi od angielskiego słowa to beat — uderzać, męczyć, być męczącym, być znanym. Wymawia się je jak beetles — chrabąszcz i to jest chyba właściwsza nazwa.

Pierwszy przebłysk kariery Beatlesów to wyjazd do Hamburga w 1959 roku. Nosili wtedy czarne, skórzane ubrania i błaznowali w czasie występów (pewnego razu John wszedł na scenę w ślipach i z deską klozetową na szyi). Od tamtych dni przestali się strzyc — słynne fryzury Beatles rosną nietknięte, nadając im swoistą oryginalność.

Dzisiejsza osobowość zespołu została uformowana w ciągu ostatnich dwu lat; przez impresaria grupy Brian Epsteina — byłego kierownika działu nagrań rozgłośni w Liverpool. Epstein nakłonił chłopców do zrzucenia skórzanych okryć i włożenia eleganckich, młodzieńczych ubrań, zmusił ich do mycia się oraz do zmiany perkusisty. Co najważniejsze Epstein miał dość pieniędzy by przeprowadzić konieczną kampanię prasową. Sukces zespołu przeszedł wszelkie oczekiwania. Trudno mówić o „wybuchu powodzenia". Ostatecznie ci dwudziestoletni chłopcy występują zawodowo już dziewięć lat! Najpierw popularność osiągnęły nagrania ich piosenek skomponowanych przez jednego z członków zespołu — Johna Lennona. Później przyszły sukcesy estradowe.

„My jesteśmy raczej podłymi muzykami. Nie umiemy śpiewać, nie umiemy nic. Ale przy tym świetnie się bawimy" — powiedział reporterowi Paul. „Muzycznie jesteśmy przeciętni. Nabijamy się z was, nabijamy się z siebie, nabijamy się ze wszystkiego. Nie bierzemy nic na serio prócz pieniędzy" — mówił Ringo. Co najzabawniejsze, w zdaniach tych jest zadziwiająco dużo prawdy.

Trudno jednak zgodzić się ze zdaniem, iż czterech pozbawionych talentu chłopców, jedynie dzięki reklamie prasowej osiągnięto taki sukces. Jest w tym jakiś psychologiczny klucz. Występy Beatles przeradzają się w zbiorową histerię o niespotykanym natężeniu. Pojawienie się ich na estradzie wywołuje przeraźliwy wrzask podlotków. Przy jego akompaniamencie rozpoczyna się koncert. Jedynie rytmiczny dźwięk bębna przedziera się przez ryk widowni. Niektórzy Beatles-maniacy walą pięściami w krzesła, kopią w ściany, inni czy inne płaczą, wyrywają włosy, rozdrapują twarze lub wpadają w trans mistycznego omdlenia. NIKT NIE SŁUCHA PIOSENKARZY. „My i tak znamy słowa na pamięć" — powiedział zapytany 14-latek. Występ Beatles jest jakby jedynie pretekstem do mistycznej, prymitywnej mszy barbarzyńców. Wystarczy podniesienie ręki, potrząśnięcie czupryną przez któregoś z czterech, by wrzask wybuchnął ze zdwojoną siłą. Co pewien czas Beatles podchodzą do przodu sceny krzycząc: „Och zamknijcie się!!!" po tęgując jeszcze tumult na sali.

Histeria muzyczna jest tak stara jak sama muzyka. Kiedyś wystarczyło samo pojawienie się na scenie Liszta, by kobiety mdlały podobnie jak dzisiejsze Beatles-maniaczki. Różnica polega głównie na tym, iż przeciętny wiek tych ostatnich to 12 do 16 lat! Chyba to jest kluczem do zagadki powodzenia Beatles; jest to zespół wybitnie młodzieżowy, pozbawiony seksu, zabawny, prymitywny i świeży. Ich piosenki: „Chciałbym cię tylko trzymać za rękę", lub „Ten chłopiec byłby szczęśliwy mogąc cię kochać" przerywane słynnymi po krzykiwaniami: jech, jech..., ich styl ubioru i uczesania, sposób wykonywania piosenek jak chłopców z chóru szkolnego, bez zwykłych u dzisiejszych piosenkarzy „numerów" gimnastyczno-epileptycznych, nadaje im posmak jakiejś naiwnej inności. Beatles-mania jest zdaniem psychologów objawem sprzeciwu w stosunku do świata dorosłych. Trzeba przyznać lojalnie, iż jest to mania dla dorosłych zupełnie niezrozumiała. Przeważająca ich część doszukuje się w niej elementów pozytywnych — bezpiecznego rozładowania napięcia emocjonalnego i upustu nadmiaru sił witalnych. „Nie odrzucajcie Beatles — pisał reporter z Washington Post — w czasie ich występu w TV w całej Ameryce nie została ukradziona nawet pokrywka od koła samochodu".

Niektóre reakcje wywoływane przez Beatles bywają alarmującej; w Glasgow, po pierwszym występie zdemolowana sala (połamane krzesła, obtłuczone ściany, naderwany balkon) wymagała natychmiastowego remontu. Policja zabroniła dalszych występów.

W USA nie dochodziło do podobnych ekscesów. Być może ostrzeżenie z Glasgow pozwoliło im zapobiec. Powitanie Beatles na lotnisku w New York przez kilkutysięczny tłum młodzieży było najgorętszym jakie zgotowano tu komukolwiek od czasu powrotu gen. MacArtura po zakończeniu II Wojny Światowej.

W czasie gdy Beatles zaczynali karierę, w Liverpool koncertowało ok. 400 zespołów jazzowych, podobnie jak oni marzących o wielkiej karierze. Szukano nowych sposobów gry, nowych „instrumentów", kombinowanych choćby z blaszanego szmelcu, nowych ubiorów (np. różowe fluoryzujące ubranie lub frak + cowbojski kapelusz. Liverpool jest miastem o dużym bezrobociu. Jak pisał „arcykapłan" jazzu: „Kariera śpiewaka jazzowego jest w tej chwili równoważna karierze boksera czy atlety z początku naszego wieku — jest jedyną drogą do świata luksusu". Jakkolwiek trudno się z tym całkowicie zgodzić, warto twierdzenie to zapamiętać. Tłumaczy ono poprzednio przytoczone zdanie Ringo: jedyna rzecz serio to pieniądz.

Beatles pilnie strzegą wszelkich możliwych dróg zarobku. Operują na zasadzie przedsiębiorstwa, którego jeden rodzaj działalności stanowią występy estradowe i nagrania, drugi reklama i wykorzystywanie popularności dla celów komercjalnych. Dla tej drugiej działalności przedsiębiorstwo posiada odrębną nazwę: „Seltaeb", czyli Beatles czytane wstecz.

Wracając do sprawy powodzenia — jakie są jego przyczyny? „Beatles są tacy zabawni, mili i zimni" — mówi 13-latek z New Yorku; „Oni są trudni, oni są inni..." — 14-letnia dziewczynka. „Muzyka ich jest prymitywna, świeża i zabawna — mówi socjolog z Liverpool — oczywiście jest tu element zmysłowy. Przed 1939 rokiem nie mogłoby to mieć miejsca w Wielkiej Brytanii — młodzież była bardziej ujarzmiona. Teraz jest ona ogromnie płynna, podatna zwłaszcza popędom zbiorowym".

„Wszystko czego pragniemy to zabawić się i dostarczyć innym rozrywki. Gdy widownia zaczyna klaskać, nawiązuje się między nami jakaś więź. Chcielibyśmy wtedy krzyczeć: „Jeśli zebraliśmy się tu, to starajmy się bawić" a nie „Jesteśmy tu, teraz krzyczcie". Nie kłopoczemy się jak to się skończy. Z pewnością nie będzie to miłe, ale nie warto się martwić. Ludzie sądzą, że powodzenie przychodzi z dnia na dzień. Mamy je nieomal od początku. To jedynie kwestia poziomu. W Liverpool byliśmy najlepszą grupą i były wycia i wrzaski. To samo było w USA jedynie na inną skalę" — wyznał Paul.

Nie wiadomo jak długo potrwa ich era. Tymczasem bawią się kosztem siebie i kosztem innych. „Co pan myśli o Beethovenie, Ringo?" — pytał reporter. „Ubóstwiam jego wiersze". „Jaka jest tajemnica waszych sukcesów?" Odpowiedź: „Nowy agent prasowy". — „Który z was jest łysy?" Odpowiedź: „Wszyscy, a ja w dodatku jestem głuchoniemy". Bawią się, dokazują a wraz z nimi miliony nastolatków pokazują figę poważnemu światu dorosłych.

FR

Napisz co myślisz

O KSIĄŻKACH WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO,
O REPERTUARZE TEATRÓW ŁÓDZKICH,
O „ODGŁOSACH",

a list Twój weźmie udział w losowaniu nagród książkowych. Najcelniejsze wypowiedzi opublikujemy na łamach Twego tygodnika.

„ODGŁOSY"

Świat Jerzego NEUGEBAUERA

To świat jakże nam bliski — świat ludzi i zdarzeń, świat rzeczywisty, nie wydumany, uchwycony okiem Tessara czy Biotara, utrwalony przez artystę błyskawicznym wyzwoleniem migawki. Świat złapany na gorącym uczynku, nie upozowany, zanotowany w każdym geście.

„Fotografuje to wszystko co mnie interesuje i co mi się podoba. Zarówno portret jak i architekturę. Reportaż jak i plener. Ale tematem jest przede wszystkim człowiek".

Neugebauer szuka — nie zamyka się w kręgu ładniutkich pejzaży i wygładzonych portretów. Jeśli portret — to jest w nim coś więcej niż banalny zarys twarzy. Jeśli reportaż — to utrwalający sytuacje zaskakujące, albo w zaskakujący sposób widziane.

„Nie robię statycznych, reżyserowanych portretów — chcę chwycić w twarzy coś więcej niż ładność.. Można przecież ustawić reflektory, podświetlić, uzyskać ładne refleksy świetlne — ale nie uzyskam wtedy tego grymasu ust, nie uzyskam tego spojrzenia — będzie ono puste i bez wyrazu".

Jeśli zdjęcia teatralne od lat robi się statycznie, w upozowanych sytuacjach, on fotografuje aktora „w akcji", — może brzydszego, może z zacienioną twarzą, ale nie zawsze na scenie widać twarz grającego, nie zawsze jest on ładny w potocznym znaczeniu tego słowa.

Neugebauer z teatrem jest zresztą związany od lat, czuje scenę jak dobry dramaturg i jego fotografia teatralna nie ma sobie równej. Pamiętamy choćby zdjęcia z „Trzech sióstr" Czechowa granych w Teatrze Nowym. Były to urokliwe fotki stylizowane na stara fotografię kiedy to chlorek miedzi barwił je na złotawy kolor, z zamglonymi konturami... Do „Sprawy" Suchowo-Kobylina artysta znalazł znów inny klucz — fotografował tłum sceniczny w ruchu, w zatłoczeniu...

Neugebauer fotografuje od trzynastu lat, od siedmiu jest członkiem Królewskiego Towarzystwa Fotograficznego W. Brytanii — wystawiał w wielu krajach — sam już nie wie w ilu. Uprawia fotografię czystą tzn. bez retuszu, bez fotomontażu, bez tricków — tych przeróżnych solaryzacji i reliefów. Daje tylko to co rejestruje czułe oko aparatu. Jego prace znaleźć można wśród najlepszych zdjęć świata w roczniku „The Wear's Photography", w biuletynie „The Photographic Journal", w „Fotojahrbuch"... Pech chciał, że zdjęcia, które zdobyły największe uznanie za granicą odrzucano z okręgowych wystaw ZPAP. Do Związku Fotografików przyjęto go zresztą w długi czas po tym jak został jako jeden z dwu Polaków członkiem Królewskiego Towarzystwa Fotograficznego. Nie wystawia już od dwu lat, chociaż wciąż otrzymuje (czasem po kilkanaście miesięcznie) zaproszenia od zagranicznych towarzystw fotograficznych. Nie ma wciąż własnej pracowni — i to już nie jest pech tylko czyjaś zła wola i obojętność. Jest artysta w całym tego słowa znaczeniu i bezsprzecznie jednym z wybitniejszych polskich fotografików.

J. W.

Flirt z czytelnikiem

Pan Janusz Denys z Łodzi pisze:

W ostatnim numerze przeczytałem artykuł Tadeusza Wiącka — „Ich małżeństwa" i jestem zdumiony pointą, która raczy nas, obywateli, autor. Czytałem taki artykuł ja — nie student, nie pracownik UL i dowiaduję się, że państwo powinno opiekować się ludźmi, którzy nie tylko że otrzymują bezpłatną naukę, stypendium, miejsce w domu akademickim, ale lekkomyślnie zawierają związki małżeńskie nie mając ku temu praw, ani ekonomicznych (brak zawodu i środków utrzymania), ani moralnych (dług zaciągnięty w stosunku do państwa). Ja bardzo przepraszam, ale wołanie o specjalne względy dla małżeństw studenckich jest chyba obrażające dla tych, którzy swoje sprawy osobiste potrafią zostawić w spokoju do czasu, kiedy zdobędą dyplom i miejsce w społeczeństwie.

Wiem, że nie wydrukujecie mojego listu — stwierdza p. Stanisław Rapalski (Łódź, Jastrzębia 5) — i dla wszelkiej pewności odpis (aby rzecz nie zginęła?) przesyła do Związku Literatów. A właśnie, że drukujemy. Ale nie w całości, ponieważ primo, trzeba by przeznaczyć na niego przeszło dwie „bite" strony; a po wtóre, list zawiera wiele polemicznych akcentów, do których trzeba by koniecznie dopisać komentarz — również w podobnej objętości, chyba zgodzimy się, że to zajęłoby za wiele miejsca. Podajemy kilka fragmentów:

„Odgłosy" w swych artykułach podają nie raz wiadomości niezgodne z prawdą. Autor artykułu pisze tak sobie, na wiatr, a zwłaszcza gdy chodzi o okres przedwojenny. W artykule „Arteriosklerozа" p. Babol pisał, że „nikt przed wojną przez długie dziesięciolecia nie myślał nigdy o Wielkiej Łodzi". Jest to w wysokim stopniu nieprawda. Plany regulacyjne opracowano i o Wielkiej Łodzi nie tylko myślano, lecz realizowano. Byłem wnioskodawcą i referentem w tej sprawie w Radzie Miejskiej w 1926 roku. Autor artykułu nawet palcem nie ruszył, aby sięgnąć do archiwum akt samorządu łódzkiego...

* * *

Pan Rapalski porusza m. in. takie dwie sprawy: pierwsza dotyczy poety Mariana Piechala, druga czystości języka polskiego. Pan Rapalski pisze:

Przeczytałem książkę: „Wspomnienia o Julianie Tuwimie". Choć to praca zbiorowa, daremnie szukałem nazwiska Piechala. Kto jak kto, ale Piechal miałby wiele wspomnień o Tuwimie. Chyba to nie przeoczenie, gdyż nazwisko Piechala jest dość znane i głośne wśród literatów, dziennikarzy i w ogóle w Łodzi...

I w sprawie czystości języka:

Tylko z jednego artykułu w „Odgłosach"... wyłowiłem „jurorzy", „mutacje", „panteistyczna wszechwładza", „implikacje", „sens funkcjonalny", „cząstki strukturalne" „symbolika i ładunek emocjonalny", „asocjacje językowe", jakieś modele „nieadekwantnę", „modele utylitarne" i znów „formy adekwantne" i „differentia specyfika" i „topografie" i „deformacje", i „determinanty", jakaś całość „akcesoryczna" i „czas konwencjonalny" itd., itd.

...A gdy do tych słów dodamy dalszy „bukiecik" zachwaszczania naszej mowy, który spotykamy w radio, na łamach prasy — jak: degustacja, hobby, spektakl, aukcja, sympozjum, weekend, automnezja, kontynery, geodezja, garmażeria, bonomia, autoksykacja, abominacja, spiker, autointoksykacja, bumelant, remanent, autopsja i wiele, wiele innych — to za kilka lat będziemy się posługiwali żargonem, a nie czystą polską mową."

* * *

Wyjaśniamy, że autorką felietonu „Gwiazdy patrzą na nas" („Odgłosy" nr 10) jest p. Maria Kornatowska.

POETA PROSI O GŁOS

Uwadze nauczycieli, rodziców — a chyba i uczniów? — polecić należy opublikowany w ostatnim numerze „Kultury" artykuł Tadeusza Różewicza „Proszę o głos". Bardzo rozważna i bardzo potrzebna jest ta wypowiedź wybitnego poety. Różewicz dyskutuje problem uczniowskich lektur. Lektur obowiązkowych i nieobowiązkowych. Problem dyskutowany był co prawda wielokrotnie: dobrze się jednak stało, że podjęto go raz jeszcze, bo wnioski, które dotąd z owych dyskusji wynikały, nie były chyba zbyt rozsądne. Stwierdzano, że młodzież nudzi się nad „Panem Tadeuszem" i nad „Pamiętnikami" Paska, że nie czyta, bo nie lubi. I wyciągano stąd wniosek, że młodzieży należy podsuwać książki Hemingwaya czy Steinbecka.

„I tutaj trzeba sobie powiedzieć jasno — pisze Różewicz — że dzieci, młodzież i dorośli — jednym słowem tzw. człowiek rozumny nie „lubi" bardzo wielu rzeczy i gdyby ten „homo-sapiens" od dziecka (do grobu) robił tylko to, co lubi... miałby nazwę zupełnie inną. (...) Otóż są wypadki, że przymusowe żywienie jest jedyną formą, którą się stosuje wobec opornego pacjenta... aby go utrzymać przy życiu. Z artykułu p. Borowskiej wynika, że młodzież lubi czytać „Tancerzy" p. Jackiewiczowej, a domaga się skreślenia z lektury „Pamiętników" Paska, „Świętoszka", „Don Kichota" itd. Znam chłopców, którzy „lubią" łamać drzewka, rozbijać lampy uliczne, wywracać kosze na śmieci itd., ci sami chłopcy „nie lubią" zamieść mieszkania, sprzątnąć po sobie, nie lubią nauki, „Pamiętników" Paska, „Pana Tadeusza" itd. Drodzy Państwo! Są pewne, bardzo pożyteczne rzeczy, których człowiek uczy się, bo musi..."

Różewicz występuje przeciw uwspółcześnianiu programu lektur, przeciw lekkomyślnym próbom (a to już dziś nie próby, to już chyba zasada) wprowadzania do owego programu dzieł poetów i prozaików współczesnych (także Różewicza) kosztem Trembeckiego, Paska, Lenartowicza. Lekkomyślnym, bo lekceważącym oczywisty fakt, że to, co tu i teraz jest spisywane wierszem lub prozą, żywi się tym, co spisano niegdyś. I przez to żyje. I droga wiedzie od Paska do Różewicza, a nigdy odwrotnie.

„Po prostu zaniepokoiłem się — pisze Różewicz — czyim kosztem — to znaczy na niekorzyść jakiego dawnego pisarza została wprowadzona lektura moich wierszy? Otóż, z ręką na sercu, wyznaję, że byłoby dla mnie niezbyt budujące, gdyby się to odbyło z uszczerbkiem właśnie godzin przeznaczonych na zapoznanie się z „Don Kichotem", „Pamiętnikami" Paska, gdyby okrojono na przykład lekturę „Trenów" itd. itd. Sprawa jest „delikatna", bo w grę wchodzi jednak żyjący pisarz z pewnymi ambicjami itd., ale powtarzam raz jeszcze: nie należy postępować zbyt lekkomyślnie z listą lektur obowiązkowych. Jeśli jakiegoś młodzieńca będzie interesowała poezja współczesna, to znajdzie on miejsce w swoim rozkładzie zajęć na czytanie i analizowanie tej poezji. Nie trzeba go będzie przymuszać do połykania i trawienia współczesnej poezji".

FILOZOFIA ZBRODNI

Ostatni numer „Życia Literackiego" przynosi fragmenty stenogramów z konferencji w kwaterze głównej Hitlera. Stenogramy miały zostać zniszczone, ślady zbrodni zacierano dość starannie, ocalały jednak, ku zadowoleniu historyków i ku przestrodze dla wielu pokoleń.

„5 maja 1945 r. jeden z sierżantów Military Intelligence Agency, obejmując posterunek Berchtesgaden, dowiedział się, że SS-owcy spalili stenografowane sprawozdania z posiedzeń sztabu generalnego, którym przewodniczył Hitler. Całość obejmowała 103.000 stron maszynopisu. Z popiołu, nawarstwionego na wysokość mniej więcej pół metra, udało się jednak wydobyć około 50 protokołów nie strawionych przez ogień".

Jest 1 lutego 1943 r.: to już początek końca, von Paulus, otoczony w Stalingradzie, właśnie skapitulował. Ale Hitler zdaje się nie dostrzegać klęski. Oburzony tym, że Paulus nie popełnił samobójstwa, filozofuje — i choć byśmy pragnęli, by ta filozofia zbrodniarza, te myśli nikczemne i przerażające, poszły w zapomnienie — przecież nie wolno nam dziś jeszcze ich zapomnieć. Z tych myśli, wygrzebanych z popiołów, ta jest bowiem dla nas nauka: ten, który tak myślał, był wrogiem ludzkości i ludobójcą. Ten, kto dziś tak myśli, idzie tą samą drogą.

„Ale dla żołnierza najważniejszą sprawą jest siła charakteru i jeśli nie będziemy im tego wbijać do głowy, jeśli będziemy produkować wyłącznie akrobatów i atletów intelektualnych, atletów umysłu, nigdy nie stworzymy rasy nadludzi naprawdę zdolnej stawić czoła wielkim ciosom przeznaczenia".

I dalej:

„Tak, trzeba wybierać ludzi dzielnych i odważnych, gotowych narażać swoje życie, tak jak je naraża każdy prosty żołnierz. A zresztą cóż to jest życie? Nikt nie może uniknąć śmierci. Jednostka umiera, wiecznie żywy pozostaje — naród. Nie rozumiem, jak człowiek może lękać się chwili, która wyzwala go od trosk; chyba że na tym padole płaczu zatrzymuje go obowiązek. To co innego!".

Tak się zaczyna: od pogardy dla „akrobatów i atletów intelektualnych". Tak się kończy: na pogardzie dla życia każdego człowieka.

Boileau

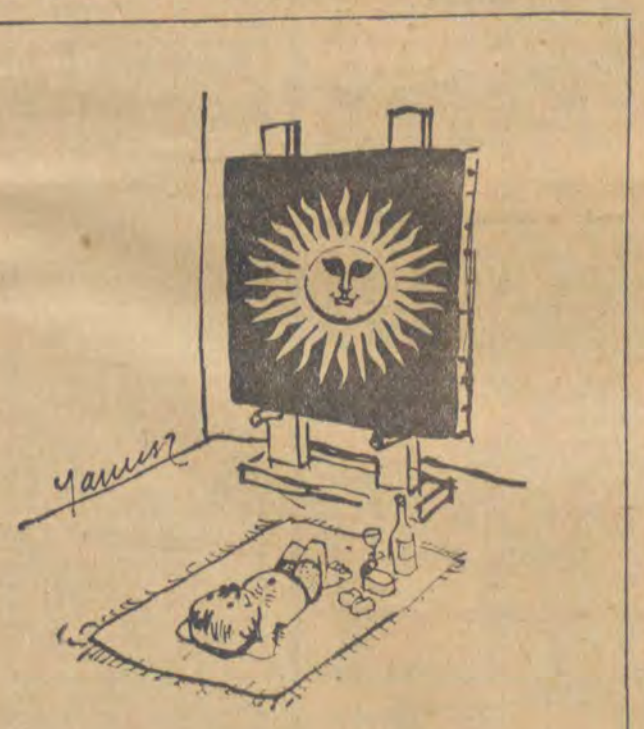

Rys. J. Wiktorowski

JAN KOPROWSKI

SYLVI KEKKONEN I LITERATURA FIŃSKA

3 marca br. przyjechał do Polski z wizytą oficjalną prezydent Finlandii, Urho Kekkonen wraz z małżonką. Tego samego dnia w oknach wystawowych księgarń wyłożono ładnie wydaną powieść Sylvi Kekkonen „Amalia". Sylvi Kekkonenę jest więc nie tylko żoną prezydenta — jest pisarką. Próżno jednak szukalibyśmy na obwolucie książki jakichkolwiek informacji o jej twórczości. Nie wiemy, czy „Amalia" to jest jej powieść dawna czy obecnie napisana, nie wiemy, kiedy zaczęła pisać i jakie pozycje znajdują się w jej dorobku. Kiedyż nareszcie nasi wydawcy zrozumieją tę prostą zdawałoby się prawdę, że obwoluta służy do informowania o pisarzu. Ludzie kochani! Nie drukujcie na okładce fragmentów z książki, którą właśnie dajecie nam do czytania. Drukujcie wiadomości o życiu i twórczości autora, dajcie jego fotografię, sypnijcie garść faktów, byśmy się czegoś mogli dowiedzieć jeśli nie o nim samym, to przynajmniej o literaturze danego kraju. Zawsze to mówiłem i twierdzę w dalszym ciągu, że informacja jest najważniejsza. Jesteśmy niedoinformowani, wiemy za mało o tym, co dzieje się na świecie. A o kulturze i literaturze Finlandii nie wiemy nic. Podobno jest w Łodzi Towarzystwo Polsko-Fińskie. No i co z tego, że jest?

Jedynym źródłem informacji o literaturze fińskiej, dostępnym w języku polskim, zresztą przestarzałym, jest praca Kazimiery Zawistowicz, pomieszczona w trzecim tomie „Literatury Powszechnej", wydanej przed wojną i dziś osiągalnej jedynie na drodze sprzedaży antykwarycznej za bardzo słoną cenę. Nie znamy zupełnie w Polsce wybitnego pisarza fińskiego, Fransa Eemila Sillanpää, laureata nagrody Nobla. Kiedy Sillanpää w październiku 1939 roku otrzymał to najwyższe odznaczenie, Polska znajdowała się pod okupacją niemiecką i nie mogła zajmować się literaturą i sztuką. A po roku 1945 mieliśmy tak wiele do odrobienia, że nie starczyło czasu i może uwagi, by przyswoić naszemu językowi prozę najwybitniejszego pisarza Finlandii. Frans Eemil Sillanpää, urodzony 16 września 1888 roku, jest autorem wielu powieści z życia fińskich chłopów, można by rzec — fiński Reymont. Drugim wybitnym prozaikiem, którego sława i rozgłos przypadają na lata powojenne, jest Väino Linnas, liczący obecnie czterdzieści trzy lata. Linnas pochodzi z miasta przemysłowego Tampere, gdzie jeszcze do niedawna pracował jako monter w tamtejszych fabrykach włókienniczych. W roku 1954 wydał powieść „Żołnierz nieznany", przetłumaczoną na wiele języków europejskich. Zaledwie przed rokiem Linnas otrzymał wielką nagrodę literacką Rady Północnej za trzeci i ostatni tom trylogii pod wspólnym tytułem „Tu pod gwiazdą polarną".

Literatura Finlandii ukształtowała się i rozwinęła dopiero w dziewiętnastym wieku, ściśle rzecz biorąc po roku 1809, kiedy Finlandia oderwała się od Szwecji i na fali wielkiego ruchu narodowego ugruntowała własną kulturę. Do tego czasu wszyscy wybitniejsi pisarze fińscy pisali po szwedzku. W 1849 roku Elias Lonnrot zebrał i wydał po raz pierwszy „Kalewalę", zawierającą 23 tysiące wierszy w 50 pieśniach, to potężne źródło pieśni ludowej, przekazywanej z pokolenia na pokolenie przez pieśniarzy. Sięgnięcie do bogatej literatury ludowej stanowiło w wieku XIX podstawowe zadanie tworzącej się narodowej literatury fińskiej. Nic tedy dziwnego, że wydaną obecnie powieść Sylvi Kekkonen „Amalia" bierzemy do rąk jako dzieło literatury zupełnie nam nieznanej, zaciekawieni, jakie też kryje ona dla nas niespodzianki i w czym jest inna od tego, co powstaje w naszym kraju. „Amalia" to powieść o kobiecie. Główna bohaterka utworu, właśnie Amalia, chłopka z krwi i kości, zostaje sama na gospodarstwie. Mąż Taavi przebywa na wojnie, zresztą nie jest to małżeństwo udane, choć Amalia wyszła za Taaviego z miłości. Teraz Taavi walczy, a ona sieje, zbiera siano, karmi i doi krowy, strzyże owce. Amalia przypomina inne postacie kobiece z powieści skandynawskich pisarzy. Jest surowa, małomówna, pracowita. Zupełnie jak Katrina z powieści Sally Salminen. Życie we wsi Takamaa, na dalekim zapleczu wojny, toczy się normalnie. Na pozór normalnie. W istocie rzeczy każdy myśli o tym, kiedy skończy się wojna i by jak najprędzej powrócili z niej mężowie, bracia, synowie. Któregoś dnia pastor przynosi wiadomość, że mąż Amalii zginął. Teraz już Amalia może liczyć tylko na siebie. Pracuje bez wytchnienia, by wychować małego synka Antti. Kiedy syn dorośnie, ożeni się i osiądzie na gospodarstwie, Amalia wyjedzie do brata swego, do Helsinek na stałe. Na tym powieść się skończy.

Jak w każdej współczesnej powieści, nie ma tu żadnych nadzwyczajnych wydarzeń i perypetii. Przeciwnie. Jest zwyczajne życie, są zwyczajni ludzie, zwyczajne sprawy. Sylvi Kekkonen pisze językiem prostym, zwięzłym, powiedziałbym: protokularnym. Kiedy opisuje wieś, ludzi, ich pracę, opis ten nasyca konkretnością. W czasie, kiedy co raz więcej powieści wyjałowiono z realiów, kiedy autor nie odróżnia żyta od kartofli, bo tego w ogóle nie widzi i nie opisuje, taka powieść jak „Amalia" nabiera nagle nie byle jakiego znaczenia. Tutaj łąka pachnie, czujemy ciepły smak krowiego mleka, oddech zgrzanego konia, widzimy leżące pokornie owce. Dialog niebywale zwięzły i tyle go tylko, ile potrzeba do zaznaczenia sytuacji lub uplastycznienia charakterów. Oto maleńki przykład. Taavi wraca na krótki urlop. Pachnie wódką i brudem. Rozmowa między nimi jest następująca. Amalia: „Obmyj się przynajmniej i zmień bieliznę". Taavi: „Od kiedy to chłop zmienia bieliznę w środku tygodnia?" I to już wszystko. Nic ująć, nic dodać.

Powieść Sylvi Kekkonen potwierdza znaną nam i z innych utworów odrębność Skandynawów. Zarówno pejzaż tych krajów, jak i jego ludzie, milczący i surowi, ale i głęboko czujący, wszystko to sprawia, że literatura skandynawska podbija nas swoją specyficzną urodą. I choć w dalszym ciągu nie wiemy, od jak dawna pisze Sylvi Kekkonen i ile już książek ma w swoim literackim dorobku, jej „Amalia" warta jest przeczytania i dobrze, że ją na polski przełożono.

Fraszki jana Czarnego

ŻYCIORYS

Urodził się, umarł, a pomiędzy
odczuwał brak pieniędzy.

DO DEMASKATORA

Demaskatorze, trudności masz,
gdy twarzą maska, a maską twarz.

Notatnik kulturalny

2. III. — 8. III.

PONIEDZIAŁEK

Każdy projekt, każda makieta ma w sobie coś z ideału. Potem bywa różnie — deszcz rysuje brudne smugi na jasnych płaszczyznach ścian, barwy szarzeją i tynk często odpada. Ale projekt — o projekt ma w sobie coś z ideału. Dlatego trudno nie zachwycić się wystawą projektów urbanistycznych której udzielił schronienia hall Biblioteki Uniwersyteckiej. Tekturowa fabryka, czyściutka i wymuskana, bajkowa palmiarnia, stadion napiętnowany spękanym cementem i skorupami butelek... Wszystko tu gładkie, idealne, wyważone. Obiekty, które na wzór tych cacek powstaną będą pewnie mniej gładkie, mniej ulizane, ale to w końcu one będą — choć zabrzmi to jak wyświechtany slogan — służyć komuś i czemuś, to one wrosną w krajobraz miasta, gdy papier stanie się betonem a cegłą gips.

WTOREK

Jesteśmy niewolnikami obiegowych opinii. Łódzki widz — mówimy — lubi operetkę, to lekka strawa, bezproblemowa, bo problemy operetkowe nie są wszak problemami. Łódzki widz — mówimy — nie chodzi do teatru. Wielka Sztuka nuży go i męczy. W Teatrze Jaracza grającym aktualnie Anouilha i Szwarca kupiło bilety w miesiącu lutym 25.000 widzów. W Operetce kankany i londyńskie sensacje oglądało w tym samym czasie — 16.000 widzów. Jesteśmy niewolnikami obiegowych opinii. Łódzki widz — mówimy... A potem nam głupio wobec zwykłych faktów.

ŚRODA

Nie wiem czemu esperantystów traktuje się często jak nieszkodliwych maniaków. Przecież to szalenie sympatyczne hobby jest z pewnością bardziej pożyteczne niż np. jałowa... nie, po co wśród zbieraczy robić sobie wrogów. Esperanto poszerza świat, rodzi międzynarodowe przyjaźnie — są to rzeczy znane, ale czy wiemy, że stary łódzki księgarz Włodzimierz Pfejfer zawarł w swej esperanckiej kronice dziesiątki lat Łodzi kulturalnej, tworząc dokument niepowtarzalny i jedyny w swoim rodzaju. Musi być jakiś wabik w tym hobby, skoro zwolenników esperanta spotykamy i wśród inżynierów w Klubie „Fafik", i wśród studentów w Klubie „Signalo". A poza tym... esperancka ekipa polsko-amerykańska wyjechała niedawno w podróż wzdłuż Afryki. Polscy esperantyści pojechali, ale finansowali amerykańscy. Tego rodzaju kooegzystencja też nie jest do pogardzenia.

CZWARTEK

Papier to kultura. A więc książki, czasopisma, afisze, bilety teatralne... Ale także bilety tramwajowe. I niestety, tramwajowe afisze. MPK zakleiło dziś wszystkie tramwaje pouczeniami w rodzaju „Nieskasowany abonament nie jest biletem uprawniającym do jazdy". Nie wiem czy przypominanie o tym odniesie większy skutek i w ogóle całą sprawę załatwiłbym daleko prościej. Przede wszystkim bez figlarnej stylistyki i bez tej ilości plakatów. Po prostu ubrałbym kontrolerów po cywilnemu. Bo papieru szkoda. Papier to kultura, a nie mamy go w nadmiarze. Kultury też.

PIĄTEK

Transmisja znaczy przenoszenie, przekazywanie. Pasy transmisyjne mają różne długości. Wyjątkowo długi był pas przekazujący założenia umowy między CRZZ a ZG Związku Piastyków. Umowę zawarto prawie półtora roku temu, a w Łodzi dopiero teraz coś w tej mierze zaczęto robić. Otwarto zatem w Elektrociepłowni wystawę 45 prac łódzkich artystów i na dzisiejszej konferencji związkowcy zaklinali się nawet, że coś kuplą. W ogóle wystawa wędrować ma przez siedem zakładów pracy i w każdym „miejscu postoju" gospodarze winni ją dekompletować. To bardzo ważne, bo propaganda propagandą, a artyści chcą przecież sprzedawać. W końcu nie malują oni wyłącznie dla sławy małojeckiej.

SOBOTA

Wigilia Święta Kobiet, więc orgia kobiecych imprez. Wystawę książek napisanych przez łódzkie pisarki otwarto w KMPiK, prelekcję „Kobiety kompozytorki" wygłosił jak nietrudno zgadnąć Bolesław Busiakiewicz, nawet na „Spotkaniu z piosenką" Janusz Duński uczył charlestona „Zginęła mi dziewczyna"... Znam książki łódzkich pisarek i oglądanie okładek za szkłem gablotek specjalnie mnie nie pociąga, nie interesują mnie kobiety-kompozytorki, które o ile mi wiadomo, nic specjalnie rewelacyjnego nie stworzyły. Nie zginęła mi również dziewczyna... Trzeba więc poczekać aż szał minie i dla normalnego mężczyzny wśród imprez coś się znajdzie.

NIEDZIELA

Nie zliczyłbym już wszystkich tablic pamiątkowych jakimi dekorowano łódzkie domy. Pierwsza apteka, zamach „Promienistych"... Bardzo ładnie. Przed pół wiekiem robotnicy Geyera otworzyli pierwszy w Łodzi spółdzielczy sklep i właśnie dziś odsłonięto w sklepie przy ul. Piotrkowskiej 292 pamiątkową tablicę. Też bardzo ładnie. A jednak coś mnie tu dręczy. Można załatwić tablicą pierwszą aptekę czy pierwszy spółdzielczy sklep. Ale nie można chyba Tuwima, ale nie można Struga. Nie wołam zaraz o muzeum, choć Warszawa w dwa lata po śmierci Broniewskiego ma bardzo ładną choć niewielką stałą ekspozycję poświęconą pamięci poety. My mamy mizerne popiersie Tuwima, a i inne godne lepszej „wystawy" fakty też załatwiamy skromniutką tablicą.

J. W.

bestsellery tygodnia

FILM

WŁÓKNIARZ	— „Pechowiec na prerii"	14 416 widzów	
POLONIA	— „Rozwodów nie będzie"	13 029 „	

TEATR

POWSZECHNY	— „Romeo i Julia" (4 spektakle)	2 640 „	99%
JARACZA	— „Nagi król" (5 spektakli)	2 800 „	82%
	— „Zaproszenie do zamku" (3 spektakle)	1 900 „	92%
NOWY	— „Maria Stuart" (5 spektakli)	2 349 „	66%
7.15	— „Cesarz mimo woli" (3 spektakle)	1 006 „	76%
	— „Śpiąca królewna" (3 spektakle)	1 065 „	80%
OPERA	— „Bal maskowy" (1 spektakl)	630 „	80%
	— „Verbum nobile" (1 spektakl)	711 „	100%
FILHARMONIA	— Koncert symfoniczny (2 koncerty)	780 „	50%

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

Tadeusz Makowski — zupa.

(Ze zbiorów Łódzkiego Muzeum Sztuki).

warto obejrzeć

PROGRAM TV 12 — 19 marca

Z jednej strony informują nas o tym, że ciągle wzrasta liczba szkół, odbierających szkolny program telewizji; z drugiej — znamy wypadki, że telewizor (którego zdobycie na pewno nie przyszło szkole łatwo) stoi nieczynny. Stoi nieczynny, bo dzieci wchodząc i wychodząc pobrudziłyby posadzkę w sali, w której znajduje się aparat(!)

Pomoc telewizji — nauczyciela znakomitego — jest zatem z oportunizmu (lub z zazdrości) odtrącana. Telewizja tymczasem kontynuuje swoją pracę i niepostrzeżenie wprowadza cykle coraz bardziej wartościowe i coraz potrzebniejsze. I tak w czwartek, 19 marca, o godz. 10.55 w ramach cyklu „O miejsce wśród ludzi" nadany zostanie dla klas od piątych do siódmych program pt. „Pierwsze sympatie".

Śledźmy ten cykl. W planach i praktyce produkcyjnej wielkiej chicagowskiej wytwórni filmów szkolnych dla dzieci i młodzieży, Coronet Films, tematyka z zakresu stosunków międzyludzkich zajmuje miejsce tak poczesne, że aż zadziwiające. Uznano bowiem, że do porządku w tych stosunkach należy wdrażać już od lat najmłodszych — równie wcześnie, jak do nawyku czystości osobistej i do ładnego jedzenia. U nas panuje od niedawna moda na socjologię i psychologię przemysłową. Działalność socjologów i psychologów w zakładach przemysłowych, przypomina jednak leczenie chorób zastarzałych. Lepiej im zapobiegać, wychowując dobrych kolegów — i dobrych szefów (o czym tyle pisze ostatnio „Dziennik Łódzki") — póki jeszcze nie zmienili krótkich majtek na dyrektorskie garniturki.

Potem, przepojeni życzliwością dla bliźnich, zasiądziemy przed zbrodniczą „Kobrą" bez obawy poddawania się złym jej wpływom... W czwartek, 12 marca, „Kobra" prezentuje „Proces Mary Dugan" Bayarda Veillera w przekładzie Emila Chaberskiego, reżyserii Józefa Słotwińskiego i scenografii Krystyny Mielech. Grają m. in.: Wieńczysław Gliński, Igor Śmiałowski, Czesław Roszkowski i — panna Krystyna Stypułkowska, absolwentka włoskiej szkoły filmowej, słynnego rzymskiego Centro Sperimentale.

Ze względu na osobę reżysera ciekawie zapowiada się transmisja z Teatru w Poznaniu (piątek, 13 marca). Będzie to wg Leona Kruczkowskiego „Kordian i cham" reżyserowany przez Marka Okopińskiego.

Okopińskiemu poświęcił niedawno artykuł w „Polityce" Andrzej Wirth (nr 4 — „Stracone zachody i nowe nadzieje"). Zielonogórski Teatr Ziemi Lubuskiej Okopiński potrafił przekształcić w zespół — pisze Wirth — ożywiony jedną ideą artystyczną, zjawisko unikalne w naszym życiu teatralnym". Wprawdzie w Poznaniu Okopiński pracuje niezbyt długo, być może jednak bliski już jest powtórzenia tamtych zielonogórskich osiągnięć.

Poniedziałkowy Teatr TV nie daje na ten tydzień kuszących obietnic. Tu panuje passa na Has(s)a.

Zaledwie parę tygodni temu oglądaliśmy w tym teatrze „Wspólny pokój" wg Uniłowskiego — ten sam, który był podstawą wcześniejszego filmu Wojciecha Hasa. Teraz, 16 marca, czekają nas Dygatowe „Pożegnania" — w telewizji reżyserowane przez Jerzego Markuszewskiego (z Aleksandrą Śląską, Kaliną Jędrusik, Marianem Wyrzykowskim, Gustawem Holoubkiem i Wojciechem Siemionem).

Bieg za Hasem, jak za panią matką, nie rzucałby się tak w oczy, gdyby telewizyjny teatralny „remake" jego filmów nie następował tak często. Cóż nam pozostaje?... Westchnąć i do przyszłego razu pożegnać się fraszką

TV hasa
wg Hasa

J. M.

warto posłuchać

W uzdolnieniu muzycznym wyróżnia się momenty specjalne, związane z uprawianiem jakiejkolwiek działalności muzycznej i momenty ogólne, właściwe również ludziom, zajmującym się innymi dziedzinami sztuki. Należy do nich między innymi siła i bogactwo wyobraźni. U muzyków, a szczególnie u kompozytorów jest to przede wszystkim zdolność tworzenia wyobrażeń muzycznych. Każdy utwór jest więc wytworem wyobraźni, fantazji muzycznej, podlegającej porządkującemu czynnikowi formy.

W niektórych utworach element twórczej, swobodnej fantazji wybija się na plan pierwszy rozsadzając niekiedy przyjęte ramy formalne. Fantazja chromatyczna Bacha, sonata cis-moll Beethovena — guasi una fantasia, Polonez-fantazja Chopina, czy Phantasiestücke Schumanna — to kilka przykładów spośród wielu utworów, w których fantazyjny — improwizacyjny charakter zaznaczony został przez kompozytora już w samej nazwie.

Inaczej rola wyobraźni przedstawia się w utworach muzyki programowej, która usiłuje środkami muzycznymi przedstawić treści, które są normalnie materiałem innych sztuk, a zwłaszcza literatury i plastyki. Tu kompozytor musi dokonać transpozycji wyobrażeń wzrokowych, myśli, przeżyć i uczuć na płaszczyznę dźwiękową. Sprawa komplikuje się jeszcze bardziej, jeżeli treścią muzyki mają być wytwory wyobraźni pobudzonej działaniem silnego narkotyku.

I oto mamy już program słynnej „Symfonii fantastycznej" Berlioza. Kompozytor zaopatrzył partyturę w szczegółowy komentarz, w którym czytamy na wstępie: „Młody muzyk o chorobliwej wrażliwości i płomiennej wyobraźni zawiedziony w miłości, zażywa w przystępie rozpaczy opium. Doza narkotyku — zbyt słaba by spowodować śmierć — pogrąża go w ciężki sen, podczas którego wyobraźnia kształtuje fantastyczne obrazy...". Nazwy poszczególnych części: „Marzenia — namiętności", „Bal", „Wśród pól", „Droga na miejsce stracenia", „Sabat czarownic" *).

„Fantastyczna" Berlioza należy do żelaznego repertuaru symfonicznego. Rzadko natomiast grywany jest koncert na lewą rękę D-dur Maurycego Ravela, który znalazł się również w programie koncertu. Po wojnie grał go w Łodzi bodajże tylko Władysław Kędra i to dość dawno. W bieżącym tygodniu wykona go młody, utalentowany pianista Jerzy Godziszewski.

Koncert na lewą rękę — unikat w literaturze światowej napisał Ravel na prośbę wiedeńskiego pianisty Wittgensteina, który w wojnie utracił prawą rękę. W swej formie koncert odbiega od tradycyjnego schematu — składa się z trzech powiązanych z sobą i tworzących jedną całość epizodów. Dźwięczą w nim echa jazzu, który zachwycił kompozytora w czasie triumfalnej podróży po Stanach Zjednoczonych (1928), z drugiej strony wypełnia go, jak mało które z dzieł Ravela, głęboka treść uczuciowa.

„Generique" — utwór Wojciecha Kilara, napisany w roku 1963, jednego z najzdolniejszych twórców młodego pokolenia kompozytorów polskich zyskał sobie duże uznanie krytyki fachowej.

Tadeusz Zieliński nie zawahał się nazwać „Generique" arcydziełem w swoim rodzaju. Styl Kilara charakteryzuje się prostotą formy, oszczędnością środków, potężną ekspresją i jaskrawością brzmienia.

Włączając „Generique" do swego łódzkiego koncertu Karol Stryja zaprezentuje zarazem jedno z najciekawszych osiągnięć katowickiego ośrodka kompozytorskiego.

*) „Symfonię fantastyczną" przedstawi publiczności łódzkiej na najbliższych koncertach symfonicznych (13. 14. III.) Karol Stryja, kierownik artystyczny Filharmonii Śląskiej.

Z. G.

warto obejrzeć

TYDZIEŃ W KINIE

Przepowiednie przepowiedniami, a filmy i gusty publiczności chadzają swoimi, nie zawsze konsekwentnymi drogami. Szalone powodzenie „Pechowca na prerii" można wytłumaczyć, choć nie przynosi ono szczególnego zaszczytu gustowi publiczności. Tłumaczy się to chyba tylko powszechną sympatią dla westernów i rzadkością okazji do pośmiania się — rzecz tylko w tym, że ten śmiech jest bardzo powierzchowny i mechaniczny — coś w nim z łaskotek pod podeszwą.

Ale jednocześnie cieszy się powodzeniem „Wiano" — trudny, powikłany film o niepopularnej tematyce — i ten fakt ośmiela mnie do przypuszczeń, że nowy, ciekawy film Zbigniewa Kuźmińskiego **„Mój drugi ożenek"** będzie się podobał i wzbudzi zainteresowanie publiczności.

„Mój drugi ożenek" jest filmem wiejskim, podobnie jak „Wiano". Ale na tym kończą się podobieństwa.

Film Kuźmińskiego jest nieskazitelny w prowadzeniu akcji. Wyraźna, czysta linia dramaturgiczna, spokojny, powolny, niemal dostojny styl, w jakim rozgrywa się dramat „podwójnej chłopskiej duszy" — to główne atuty filmu. Dodam, że akcja jest interesująca, niepozbawiona pewnej pikanterii politycznej i erotycznej. Że zachowano w filmie na ogół wierne atmosferę powieści Mortona; że wreszcie film jest realistyczny w przedstawieniu obyczajów i w większości detali.

Tylko jedno jest w nim trudne do strawienia, a to, niestety, Mariusz Dmochowski. Ten doskonały aktor obdarzony jest wprawdzie potężną postawą — ale w jego sylwetce nie ma nic z chłopa. Nie pomaga kunsztownie zmierzwiona czupryna — Dmochowski bardziej przypomina Wokulskiego niż Marcina Szypułę. Dopiero gdzieś od połowy filmu można się do niego przyzwyczaić i wtedy już jest wszystko dobrze. Ale za to Janusz Kłosiński w drugoplanowej roli Izydora jest bardzo dobry i zupełnie nowy.

Polecam ten film, warto zaryzykować, jest całkowicie „do oglądania". A na wszelki wypadek, dla tych, co nie lubią zbyt wiele ryzykować, mam w tajemnicy informację, że film jest krótki.

„POWIATOWA LADY MAKBET" — to jugosłowiański film Andrzeja Wajdy. Najwyższy to czas, żebyśmy znowu coś z Wajdy zobaczyli, między „Samsonem" i „Popiołami". Film jest ponury i dramatyczny, pełny kłębiących się namiętności. Podejrzewam, że przed wojną reklamowano by go jakoś tak: krew i nienawiść, czyli miłość pięknej młynarki do niewiernego pasterza. Ale bez żartów — film JEST dobry i wartościowy i otwiera jeszcze jedno okienko w głąb zawiłości psychiki zakochanej kobiety.

Przypomnę jeszcze na zakończenie opinię mojego przedmówcy z ubiegłego tygodnia o „KLIMATACH", które zrządzeniem losu dopiero teraz wchodzą na ekran: „sprawny filmowo melodramat ze świetną Emmanuele Riva".

Tak więc jest co oglądać — wierzę, że będzie miał kto oglądać te filmy.

E. L.

Redaguje Zespół — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17.
Zam. 723. III. 64. F-13

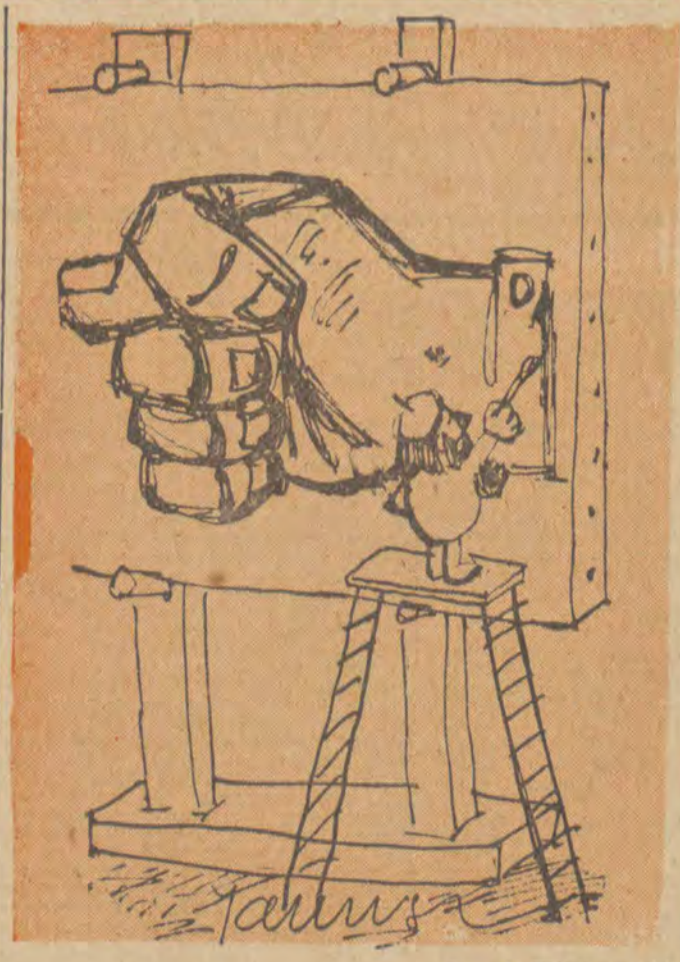

Rys. J. Wiktorowski

jazz

VII. PIERWSZY WŚRÓD WIELKICH

W dniach oddzielających Boże Narodzenie od Nowego Roku w całym Nowym Orleanie trwała wielka, publiczna zabawa. Rozśpiewane, roztańczone pochody przeciągały wzdłuż Rampart Street, rozświetlając mroki nocy płonącymi pochodniami, słychać było huk setek petard, sztucznych ogni i palbę karabinów czy rewolwerów.

„Na dnie starego, cedrowego kufra Mamy" — pisze Luis Armstrong w swojej autobiografii pt. „My life in New Orleans" — znalazłem pistolet kalibru 38. Naturalnie Mama nie wiedziała, że wziąłem go owej nocy, gdy poszedłem śpiewać z kolegami na ulicy"... Dodajmy, gdyby Mama wiedziała — historia życia jednego z największych muzyków jazzu potoczyłaby się prawdopodobnie zupełnie inaczej. 13-letni bowiem wówczas Luis wyniku kanonady, urządzonej owego

pistoletu na Rampart Street, znalazł się w domu poprawczym. Wychowywany dotychczas w atmosferze bluesów, granych przez liczne dęte orkiestry, przesiąknięty dźwiękami lokalnych pieśni ludowych, tam w Waif's Home for Boys rozpoczął naukę gry na kornecie. Dwa lata spędzone w domu poprawczym dały Armstrongowi właściwie całą edukację muzyczną, której potem, nota bene, zazdrościło mu wielu kolegów. — „Co zrobić, aby mnie wpakowano do Waif's Home" — pytali go przyjaciele, kiedy po odbyciu kary 15-letni Luis czarował przechodniów grą na ulicy, inkasując do czapki pokaźne honoraria.

W okresie ekspansji jazzu na północ Stanów Zjednoczonych Luis Armstrong jedzie w ślad za swoim uwielbianym mistrzem Joe „King" Oliverem do Chicago. W latach dwudziestych staje się czołowym reprezentantem jazzu, który przechodził wówczas okres burzliwego rozwoju. Popularność Armstronga wywodziła się z jednej strony z maestrii technicznej młodego trębacza oraz z intuicyjnego, wrodzonego daru doskonałego muzycznie, szczerego „wypowiadania się" przez grę — z drugiej zaś zdobycie sławy zawdzięcza Armstrong dominującej w ówczesnym jazzie roli trąbki. Trąbka bowiem była głównym instrumentem melodycznym orkiestry, podkreślała także akcentowane części taktu granego utworu. Armstrong staje się pierwszym wielkim solistą jazzu — pierwszym z nielicznych, których krytycy w latach późniejszych zakwalifikują do grona geniuszy. Ale zanim to nastąpi, Luis Armstrong nagrywa w latach 1924—1928 swoje pierwsze płyty. W 1929 r. przybywa do Nowego Jorku i na wiosnę próbuje sił jako artysta estradowy, występując w rewii pt. „Gorące czekoladki". Od tego czasu datują się liczne jego nagrania popularnych przebojów. W 1932 r. Armstrong występuje po raz pierwszy w Europie, grając w londyńskim „Palladium". Na kontynent nasz powraca później wielokrotnie (między innymi w 1948, 49, 52), w 1954 r. odwiedza Japonię, a w 1961 kilka nowo powstałych państw Afryki, które witają go jak udzielnego władcę.

Jednym ze szczytowych momentów kariery Armstronga był niewątpliwie koncert w nowojorskiej Metropolitan Opera (1944). Stojąc na czele zespołu All Stars, zwycięzców ankiety pisma Esquire, Armstrong w przeciągu dwóch godzin trwania koncertu rozbił w proch zastarzałe przesądy, nie dopuszczające jazzu do tamtej pory do sal koncertowych. Potwierdził starą zasadę tej muzyki — „nieważne jest co się gra, ważnym pozostaje k t o i j a k g r a!"

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI